

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 28 KWIETNIA 1928 ROKU

NR 18

TREŚĆ NUMERU: Taniec wśród mieczów—*Dr. Herminja Naglerowa*. Reformy ustroju szkolnictwa zagranicą—*Bogdan Suchodolski*. Zanim klamka zapadnie—*M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Wiosna na wsi”, „Wiosna w mieście”—*Lucyna Krzemieniecka-Wolicowa*. Inteligentka (dok.)—*Z. Zaleska*. Na wiosnę—*Halina Marja Dąbrowska*. Obrazy Ireny Łuczyńskiej-Szymanowskiej—*St. Podhorska - Okołów*. Z życia ekranu—*Stef. H.* Dwa zjazdy pedagogiczne w Warszawie—*Natalja Jastrzębska*. Kobieta w świecie i domu—*H. S.* O polskość naszych wnętrz—*Marja Morozowicz-Szczepkowska*. Schematy kompozycyjne—*Wanda Młodożeńcowa*. Ogródki dzieciinne—*W. D.* Chemia w kuchni—*Inżynier Tadeusz Ingwer*. Skromna kolacja—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dodatek: „Mody i roboty: Grochy i groszki—*Well*. Haft Richelieu. Dodatek powieściowy: „Niewolnicy”—*Monteiro Lobato*—przekład z portugalskiego *J. Świerczewskiej*. Arkusz wzorów.

TANIEC WŚRÓD MIECZÓW

Pragnę tu dziś poruszyć kwestję drażliwą, lecz tak ważną i aktualną, że owijanie jej w bawełnę przynosi raczej tylko szkodę. Patrzenie prawdzie w oczy może więc być przykre, sędzę jednak, że rozumni i poważnie zastanawiający się czytelnicy (w pierwszym rzędzie—czytelniczki) podejmą sprawę, którą chcę tu pokrótce omówić, i może—oby się tak stało!—z myśli rzuconej wyrośnie czyn.

* * *

Nierówność materialna, jako wiecznie tlejące zarzewie nienawiści, jest jednym z najważniejszych motywów walk klasowych. Za tem idzie, że właściwie stale istnieje możliwość rewolucji społecznej, której ideową podstawą jest dążenie do usunięcia krzywdy niesprawiedliwego podziału dóbr materialnych.

Podział na krzywdzących i krzywdzonych musimy przyjąć, jako faktyczny, i bez względu, do jakiej należemy warstwy—musimy się przeciwstawić jaskrawej niesprawiedliwości takiego stanu rzeczy. Choćbyśmy więc nie chcieli nic wiedzieć i słyszeć o teorytykach sprawiedliwości społecznej: St Simonie, Proudhonie, Marksie, Lassallu i innych, pomawiając ich o doktrynerstwo,—to jednak nie możemy zaprzeczyć, że religją nakazywane miłosierdzie nie jest niczem innem, jak niezorganizowanem, bo tylko jednostce powierzonom, zwalczaniem i zapobieganiem niesprawiedliwej nierówności.

Jest sprawą jasną, że w nowoczesnych warunkach miłosierdzie, jako filantropja indywidualna i dowolna, niewiele może zdziałać. Dobroczynność indywidualna przepada bowiem, jak kropla w morzu nędzy. I dlatego to, tak zwane zdobycze socjalne wejść

musiały w prawodawstwo powszechne, stały się ustawą zagwarantowaną, a państwo musi dziś być jej wykonawcą i obrońcą.

Lecz wkrótce ujawniło się, że państwo nie może samo podołać wszystkim zadaniom i ciężarom. Kwestja finansów państwa odgrywa tu również ważną rolę, gdyż wyznaczanie przez parlamenty sum budżetu jest prawie zawsze wypadkową konfiguracji partyjnych, oraz ich polityki społecznej i ekonomicznej. Rząd musi się więc dostosowywać do programów większości parlamentarnej i działać w myśl jej interesów.

Poniekąd z tych przyczyn państwo usiłuje zrzuć z siebie część ciężaru, szukając ulgi w tworzeniu samorządów, w popieraniu samopomocy społecznej, czy dobrze pojętej i zorganizowanej inicjatywy prywatnej. Takie ruszanie z posad bierności społecznej daje niejednokrotnie świetne wyniki. Po wojnie, na przykład, szerzy się ruch współdzielczy, najbardziej może zbliżający do ideału równości materialnej. Współdzielczość, zastosowana narazie tylko na niedużych odcinkach naszego życia, łagodzi w znacznej mierze krzywdy niesprawiedliwego podziału i łączy grupy społeczne.

Są to jednak tylko minimalne posunięcia na drodze ku poprawie zła. Tymczasem—miejmy odwagę to powiedzieć: rosyjska rewolucja bolszewicka wzbudziła, wzruszyła także wewnętrzną strukturę państw demokratycznych Europy. W obronie przed rewolucją, któraby wyrzuciła do góry nogami dotychczasowy ustrój polityczny, społeczny i ekonomiczny, imają się rządy reform, przeprowadzają nawet zmiany zasadnicze, od podstaw. Negatywny wynik rewolucji ro-

syjskiej prowadzi w całym świecie kulturalnym do wniosków i prac pozytywnych.

Nie jest to strach przed niebezpieczeństwem gwałtownego i niszczącego przewrotu, ale poprostu zrozumienie, że tam, gdzie jest źle, a zła się nie przeciwdziała,—może być jeszcze gorzej.

Nie wolno ukrywać, że epidemia przewrotu szerzy się we wszystkich państwach Europy. Zwolennicy przewrotu wydobywają więc na jaw wszelkie wady naszego ustroju politycznego, społecznego i ekonomicznego, wskazują na nieuleczalność pewnych zjawisk w takim ustroju. Demagogiczna krytyka istniejącego porządku trafia, oczywiście, do przekonania masom pokrzywdzonych, które, nie mając nic do stracenia, widzą lepszą przyszłość w nowinkach.

Trzeba więc, abysmy sobie zdawali z tego sprawę, że nasz spokojny, powszedni dzień jest podminowany, że stąpamy po materiale wybuchowym.

Zresztą zbyt jawnie mówi się o tem przy każdej sposobności, ale my pocieszamy się, że to nie nastąpi dziś, ani jutro, a może nie stanie się nigdy! Okrywamy się biernością, jak ciepłą pierzyną, albo zamykamy oczy, aby nic nie widzieć. Nie widzieć: bezrobocia, bezdomności, braku dostatecznej ilości ochronek, szpitali, szkół i t. d. Nie widzieć: lenistwa chłopów, niskiego stanu gospodarki rolnej, ciemnoty, upadku moralności na wsi, wzmożonej przestępczości w mieście.

Szkicujemy tu tylko obraz zła i niedoli, lecz to są właśnie owe drożdże przewrotu, to jest właśnie krzywdą upośledzonych, a jednocześnie krzywdą całego społeczeństwa.

Nie przeczę, że jest dość duży odsetek inteligencji, oddanej pracy społecznej, przejętej szlachetną troską o sprawy wspólne. Wiemy jednak, jakiego to wymaga wysiłku, by sklecić jakąś instytucję społeczną, której jedynym kapitałem zakładowym jest—dobra wola. Ogół bowiem zachowuje się biernie, czasem lekceważąco, czasem nawet wrogo wobec tych poczyną. Wtedy następują po sobie w tradycyjnym porządku: — odezwy do społeczeństwa, zebrania, dzień kwiatka, wymęczony koncert, wyharowany bal lub raut. W rezultacie gospodarzy w tych instytucjach bieda z nędzą, a przygodni, „karotowani” ofiarodawcy niecierpliwą się i zżymają na bezużyteczne wyciąganie im grosza z kieszeni.

Lecz te syzyfowe trudy ofiarnych społeczników są tym „pocieszającym” objawem, świadczącym o tem, że ktoś chce pracować dla dobra ogółu, ktoś nie myśli jedynie o sobie, ktoś widzi zło i zastanawia się nad zwalczaniem i usuwaniem braków i krzywd społecznych. Umysłowość dzisiejsza odnosi się z dobrze rozumiałą niechęcią do filantropji jednostek, do mecenasowstwa i miłosiernych gestów. Wolimy czyny wspólne, oparte na jakiejś organizacji pracy, przewidujące ciągłość akcji. Zresztą, coraz mniej mamy szlachetnych fundatorów i dobroczyńców,—ten typ

prawie zagał w nowoczesnych demokratycznych społeczeństwach, gdyż sfery posiadające okazują dziś niewzruszoną obojętność na nędzę mas, na niedomaganie społeczne. Sfery posiadające właśnie, wbrew wszelkiej logice, najmniej chcą widzieć grożące niebezpieczeństwo.

Tymczasem zaś — krzywdzeni i upośledzeni widzą: przepełnione kawiarnie, restauracje, dancingi. Widzą: próżniactwo, budzące się na noc hazardu w klubach, rozpustę niemal jawną, przepych, obżarstwo i pijaństwo. Używam słów dosadnych, lecz nie odbiegających prawdy.

A teraz—konkluzja. Gdyby owych 50, 20, czy choćby 10 tysięcy krezusów, jakich bezwątpienia doliczylibyśmy się w Polsce, zamiast wydawać na hulanki, na rzeczy zbędne, nic z kulturą nie mające wspólnego — ofiarowało, powiedzmy, po 1000 zł. miesięcznie, możnaby mieć 50, 20, czy choćby 10 milionów miesięcznie na tworzenie instytucji społecznych, na stypendja, biblioteki ludowe, na wszystko, na co, jako na niezbędne, wskaże głód polskiego społeczeństwa.

Zapewne w pierwszej chwili pomysł ten wyda się dziwny, może nawet nieprawdopodobnie śmieszny, tym wszystkim próżnującym wesołkom, których bawianiec wśród mieczów. Bo jakimże to prawem śmie ktoś dobierać się do kas wolnych obywateli? Nie, nie do kas jedynie pukamy, ale do sumień!

Nie mam zamiaru szerzyć popłochu i straszyć, niby niegrzeczne dzieci, złym, czarnym (czerwonym!) kominiarzem. Mam zresztą na myśli nie jałmużnę, rzuconą na odczepnego, ale akcję zorganizowaną, wielką akcję społeczną. Powstają przecież konsorcja przemysłowe i handlowe, i Bóg wie jeszcze jakie, — więc dlaczego nie mogliby bogaci ludzie w Polsce stworzyć konsorcjum dla pracy społecznej?

Poddaję ten projekt pod rozwałę w pierwszym rzędzie kobiecie polskiej. Są w Polsce bogate, niezależne, rozumne kobiety, które mogłyby stworzyć takie dzieło. Zważcie tylko: — tysiące rodzin mieszka od lat w barakach i blaszankach, a czy znalazł się ktoś, opływający w pieniądzu, by ulżyć nędzy bezdomności? Jeden człowiek możeby temu nie podołał, ale zaradzić temu potrafiłoby — „konsorcjum”.

Co krok napotykamy sto prac do wykonania i co krok grzęźniemy w obojętności i bierności. A czy myślicie, że bierność i obojętność nie jest tak samo niesprawiedliwym egoizmem, jak świadome krzywdzenie?

Kobieta polska, która zawsze była sumieniem narodu, która zawsze najszybciej reagowała uczuciem i rozumem — i dziś najszybciej zrozumie nakaz chwili. W dobrze zorganizowanej, finansami posiadających wzniesionej, świadomej i celowej pracy społecznej znajdzie przecież wyraz to, co nazywamy — miłością ojczyzny. Czyżby to był po otrzymaniu niepodległości tylko frazes, nic już nie znaczący dźwięk? Czy naprawdę sądzicie, że nam dziś nic nie grozi?

Dr. Herminja Naglerowa.

BOGDAN SUCHODOLSKI

REFORMY USTROJU SZKOLNICTWA ZAGRANICĄ

W artykułach p. t. „Duch nowego wychowania” przedstawiliśmy zasadnicze podstawy i tendencje różnorodnych prądów pedagogicznych współczesnych, obejmowanych nazwą „nowego wychowania”. Jak wszystkie prądy nowe, nie są one jeszcze skryształizowane ostatecznie, ani też nie zdobyły sobie powszechnego uznania. Nie są jednakże martwe, gdyż potrafiły wycisnąć wyraźne piętna na reformach szkoły dzisiejszej. Postaramy się teraz przedstawić najważniejsze zadania reform szkolnych i najważniejsze próby rozwiązań wysuwanych przez życie postulatów; na tem tle zarysuje się wyraźnie udział i rola nowego wychowania w tej pracy i w tych próbach.

W dziedzinie ustroju szkolnego kwestją najważniejszą jest sprawa stosunku wykształcenia ogólnego do zawodowego. Schemat dawny, odróżniający radykalnie szkoły zawodowe od ogólno-kształcących, utrzymać się dłużej nie da. Przyspieszenie tempa życia gospodarczego i skomplikowanie jego wymagań, przy równoczesnem wydłużeniu czasu trwania szkoły ogólno-kształcącej średniej i wyższej, sprawia, iż tylko nieliczne jednostki mogą sobie pozwolić na luksus przechodzenia przez szkołę średnią. Przerzucenie zaś reszty, po kilku latach szkoły powszechnej do szkół zawodowych wyłącznie, odbiera jej możliwość zdobycia wyższego poziomu ogólnego wykształcenia. Stąd usiłowania i próby, znane na długo przed wojną, utworzenia innego jeszcze typu szkół, a mianowicie szkół zawodowo-ogólno-kształcących, t. zn. takich, w których, obok wiadomości teoretycznych i praktycznych z zakresu pewnego zawodu, udzielanoby wykształcenia ogólnego na poziomie, odpowiadającym danemu zawodowi, i o ile możliwości ściśle z nim związanego. Tak np. stolarz lub krawiec uczyłby się specjalnie — oprócz innych przedmiotów ogólnokształcących — o dawnej kulturze urządzenia mieszkania i o ubiorach, malarz — o architekturze i t. d. Taki rodzaj szkół (niemieckie „Mittelschule”, francuskie „Ecoles primaires supérieures”, angielskie „modern Schools”, przygotowujący zastępy rzemieślników, mechaników, niższych urzędników i t. d., — cieszy się coraz większem powodzeniem. Czas nauki jest różny (3—6 lat), a wstęp — po ukończeniu części, lub całej szkoły powszechnej. Istnienie takich szkół o różnorodnej specjalizacji zaspokaja nie tylko różnorodne potrzeby gospodarcze, ale również i indywidualne, umożliwiające jednostkom, pragnącym wykształcenia wyższego, niż to, które dać im może szkoła powszechna, ale znowu nie tak wysokiego i długotrwałego, jak to, które daje szkoła średnia w po-

łączeniu z wyższą — odnalezienie dobrej drogi własnej. Zmniejsza się liczba wykolejenców życiowych (słabych maturzystów, lub tych, co matury zdobyć nie mogą), wzrasta poziom kulturalny szerokich warstw, a odciążona z balastu szkoła średnia rozwijać może intensywniej swą pracę.

Drugim ważnem zagadnieniem ustrojowem jest kwestja „jednolitej szkoły”. Nazwa niejasna i pokrywająca różne znaczenia. Chodzi w każdym razie o to, aby jednostki zdolne miały możliwość osiągnięcia najwyższego poziomu wykształcenia. W warunkach dzisiejszych dzieci wiejskie lub miejskie, kształcące się w szkole powszechnej, nie zawsze mogą po jej ukończeniu przedostać się do gimnazjum. Nasuwa się tu wyjście w postaci oparcia szkoły średniej na szkole powszechnej, a co zatem idzie — skrócenie czasu nauczenia w tej pierwszej. Przeciwnemu wszakże przemawiają liczne i poważne względy dydaktyczne i pedagogiczne. Naogół kwestja jest trudna do rozstrzygnięcia; zależy też w znacznym stopniu od socjalno-gospodarczych warunków kraju. Kraje skandynawskie opierają gimnazjum na szkole powszechnej; wielkie państwa europejskie próbują tu raczej innych dróg. Pragnąc uczynić ze szkoły średniej szkołę elity umysłowej, a nie szkołę dla wszystkich, nie chcą opierać jej na szkole powszechnej, sądząc, że i ta ostatnia uległaby wypaczeniu, gdyby miała na widoku przygotowanie do szkoły średniej, — i próbują tylko zapewnić najzdolniejszym przedostanie się do niej. Stąd próby organizowania w szkołach powszechnych specjalnych oddziałów dla bardzo zdolnych i otaczanie ich specjalną opieką, jak się to dzieje w Austrii i w Anglii; stąd próby organizowania funduszów stypendjalnych, umożliwiających uboższym zdobycie najwyższego wykształcenia, jak we Francji. Droga dla zdolnych! — oto hasło, silnie brzmiące w całej Europie, a i w Ameryce. Hołduje mu również i szkolnictwo sowieckie, poddające pozatem ostrej krytyce ideę szkoły jednolitej, jako szkoły, umożliwiającej odpływ jednostek najzdolniejszych z proletariatu do burżuazji.

Naogół biorąc, reformy ustrojowe zmierzają do: 1) ściślejszego zespolenia szkoły z życiem gospodarczem i jego potrzebami, 2) podniesienia ogólnego poziomu kulturalnego, 3) wykorzystania wszelkich zdolności. — Wszędzie jednak kierownicy polityki szkolnej zdają sobie sprawę z tego, iż ustrój i jego schemat nie jest najważniejszą pozycją reform szkolnych. Zależy on bowiem od całego szeregu założeń pedagogicznych i dydaktycznych. Jest ramą, której wartość

i rola zależy od treści wypełniającej. To też — jak o tem świadczą przykłady angielskie, austriackie, włoskie, niemieckie — określa się nasamprzód programy szkolne, metody dydaktyczne i pedagogiczne, ustroj staje się ich funkcją. W radykalnych kołach nowego wychowania pragnie się wogóle doniosłość zagadnień ustrojowych przekreślić. Skoro bowiem szkoła opiera się na indywidualnej twórczości grupy uczniów i uczących, to tem samem wytwarza własną, oryginalną organizację, a jakiegokolwiek ramy ustrojowe (bądź w formie obowiązującego programu, bądź nakazanych egzaminów, bądź zarządzeń dyplomatycznych i administracyjnych) odczuwane być muszą, jako krępowanie swobodnego i twórczego życia szkoły.

Stąd programowe hasło i żądanie: „elastycznego ustroju“, t. zn. takiego któryby łatwo podporządkowywał się wymaganiom i potrzebom tych indywidualności, jakimi mają być wszystkie szkoły. Każda szkoła ma być bowiem swoistem, niepowtarzalnym, indywidualnym ogniskiem życia, płynącego z twórczości wychowawców i wychowanków, a nie instytucją, założoną i kierowaną przepisami „z góry“. Są to tezy krańcowe.

Naogół wszakże wszędzie państwowa polityka szkolna okazuje wiele tolerancyjności, zostawiając swobodę próbom i różnorodnym usiłowaniom. W szkolnictwie nie można unifikować: życie, które jest różnorodnością, nie znosi tego.

M. H. SZPYRKÓWNA

ZANIM KLAMKA ZAPADNIE

Może zresztą jest to powiedzenie zbyt kategoryczne? Może mało istnieje rzeczy tak niepowrotnych, żeby decyzję należało uważać za zapadnięcie klamki?...

Myślę o decyzji zasadniczej ze zbliżaniem się matury szkolnej: wybór przyszłego zawodu. Przyszłego pola pracy i przyszłej funkcji międzyludzkiej.

Za mało mamy oświetleń fachowych tej dziedziny. Trzeba u nas jeszcze szukać odpowiednich statystyk, danych, liczb. A jednak na nich powinno by się zatrzymać każde macierzyńskie oko. Jakie zawody w Polsce są dla kobiet najkorzystniejsze materialnie? Jakie — najtrudniejsze moralnie? Jakie — są nowością powojenną? Jakie — zapomnianymi, a dobrze mi może do przypomnienia placówkami?

Spróbuję z biegiem czasu potrafić o rozmaite, ale zacznę od tych — zapomnianych.

Bo są i takie. Śmieszne, ale prawdziwe: jedną z zapomnianych placówek... zawodowych kobiety, jaka w ostatnich czasach wysuwa się na stanowisko czołowe, jest — o radości! — zawód macierzyński. Podlega fluktuacjom pewnej mody wewnętrznej, jak inne — konkurencji. We Francji, na przykład, od jakiegoś czasu stał się niepopularny, i, rozstąpił się ziemio, „Madame ne veut pas d'enfant!“ Słynna książka pod tym tytułem, na człowieka, nieobebranym bliżej z nowotworami chorobliwymi współczesnej Francji, w jednym przynajmniej jej odłamie: sprawia wrażenie fantastycznego nieprawdopodobieństwa, które, jakoby, jest smętną prawdą. Stąd wielki marszałek Francji za pobytu w Polsce nie jest tyle pod wrażeniem wspaniałej rewii wojskowej, co... ilości dziatwy u nas. Poprostu — dzieci, i już! Patrzy z zazdrością na ich mnogość i mimowoli wzdycha: — Gdybyż to tak we Francji!.. — A w jednej z niedawnych korespondencji paryskich „Świata“ (podpisanej,

niestety, tylko kryptogramem, choć była bajeczna) autor rzuca kilka świetnych ironijek pod adresem małego paryskiego „moutard'a“, który pysnie i bez popłochu przejeżdża w swym wózeczku przez gehennę aut jakiejś ulicznej krzyżownicy. Dla jego lilipuciej mości żelazny policjant zatrzymuje magicznym skinieniem ruch — i sto aut czeka, aż zostanie bezpiecznie przewieziony na drugą stronę. Dziecko we Francji jest ochraniane, jak coraz rzadszy okaz przyrody, który podlega konserwacji państwowej — i rozmaite premje, legje i ulgi nadaremnie kuszą zastępy matek, aby... chciały niemi istotnie być. Dlatego też Francja uważa się za kraj zagrożony w przyszłości, a opinia coraz częściej nawraca do terminu: degeneracja.

Na drugiej półkuli — Ameryka jest przeciwstawieniem i zarazem analogią. Przeciwstawieniem — dlatego, że ma dużo dzieci (polacy zresztą i w tem trzymają się tam zasad starokrajskich, miewając po sześcioro i dziesięcioro dziatwy). Analogią zaś — z powodu mądrej już od zarania, nawet przy wielkiej mnogości dzieci — ochronie dziecka. Ten najpostępowszy na świecie kraj jest naprawdę dla dzieci mlekiem i miodem płynący. Wychowanie fizyczne nigdzie nie stoi tak wspaniale, przytulki dla sierot nigdzie nie są tak zbytownie obstarowane, szkoły — tak zaopatrzone we wszystkie możliwe możliwości, publiczność — tak nastawiona w każdej chwili na pomoc i obronę małego przechodnia. Mam wrażenie, że słonie amerykańskie nie zrobiłyby krzywdy jankesiatku więcej, niż u nas — wielki brytan — szczeniściu. Ten wielki kraj wielkich ludzi i wielkich interesów posiada jednakoż dziwną i rzewną tkliwość dla — maleństwa.

A jak jest u nas?...

Polska dzieci kocha. Nie ulega to wątpliwości. Ale że Polska swej miłości dla dzieci nie wyraża w sposób zasadniczy, tylko liryczny—to druga prawda.

Kto nie zna wiersza o Milusińskich? Jest deklamowany przez malutkie fartuszki po wszelkich imieninach, popisach, okazjach rodzinnych. Jest naprawdę zabawny i śliczny. Dziecko w Polsce jest przede wszystkim — milusińskim „swojej mamusi i swojego tatusia”. Czy jednak dziecko sąsiadki z prawa i lewa, a jeszcze więcej—praczki z suterena—będzie dla nich cenne samo przez się? Jako polskie dziecko? Jako człowiek, mały jeszcze, ale już przecież człowiek? Nie wiem. Wątpię!.. Zdaje się, że częściej jest „tym nieznośnym bachorem”, który wrzeszczy, kiedy chcemy spać, rozbija nam szybę, bawiąc się, i jest jabłkiem niezgody pomiędzy sąsiadującymi matkami. Zresztą, dziecko w Polsce jest jeszcze aż nazbyt często bite przez rodziców, ba!.. katowane, zwłaszcza przez ojca, kiedy się upije, albo i nie. Olbrzymia ilość dzieci pozainteligenckich rośnie, jak dziczki — i nie wyrasta na chlubę ojczyzny. Kryminalistyka emigracyjna liczy polaków na jednym z honorowych miejsc... honoru nam, niestety, nieprzynoszących! I nie dlatego, żebyśmy mieli specjalnie zbrodnicze skłonności, jak to się zdarza społeczeństwom degenerującym się. Nie! Prostu, wychowane w niskiej kulturze zewnętrznie i moralnie, na cóż ma dziecko wyrosnąć? Czem być? Skąd czerpać wzory, skoro nigdy ich przed okiem nie miało?

Tak więc: Polska wydaje na świat dzieci, ale ich nie wychowuje na dodatnich obywateli państwa. Czyli—plusy i minusy tego stanu trzeba jeszcze zważyć.

Jaki byłby środek zaradczy na podobne stanowisko?

Oczywiście, wiekuisty refren: podniesienie kultury. Zapewne! Zapewne! Ale kultura nie jest firanką, którą możnaby, nagle zdecydowawszy się, wziąć i podnieść; poczem do pokoju odrazu wpada masami światło! Nie jest też i kamieniem, który leży nisko pod płotem, a my, wyteżywszy mięśnie, dźwigniemy go — i umieścimy na postumencie, skąd zobaczy szeroki świat. Nie! Kultura jest — ziarnem. I, niestety, musi rosnać samo, cal po calu, wolniutko, bez skoków, własnemi, tajemniczymi procesami podziemnymi — a do nas należą tylko trzy pomoce:

Zasiać ją.

Chronić od wpływów niszczących.

Zasilać czynnikami wspomagającymi.

Nie znamy takiego, któryby zebrał dobre plony, jeżeli nie sieje na dobrze uprawnej, przygotowanej glebie. Otóż — przygotowanie gleby jest najważniejszym przedszkolem kultury, które musi spocząć, nie: rozwijać się!.. w ręku inicjatywy prywatnej: społeczeństwa. Rząd zakłada szkoły: tak! Rząd łoży pieniądze: tak! Ale ktoś musi jeszcze iść obok siewcy, odrzucać kamyki, wypleniać chwasty, ułatwiać mechaniczną już

niejako pracę: ktoś musi pomagać w ciężkim trudzie zasiewu kultury na naszej, odłogiem zależącej, polskiej glebie!

Któż? jak? i czem?

Kobiety. Z pomocą kobiet i przez kobietę.

Tak oto je widzę! Bo nie wyobrażam sobie wejścia z kulturą dziecka, przyszłego obywatela Polski, skuteczniej, jak przez jego matkę. Przez kobietę zatem. Przez tę właśnie, nisko stojącą kulturalnie i moralnie, matkę, która dziecko poi makowym odwarem, uczy podkraść sąsiadów i oszukiwać władze. Przez tę jego ciemną, ciemnym, ale silnym, jak życie, instynktem do niego przywiązaną matkę, którą trzeba w imię kultu dziecka w Polsce!.. wyszukać, zrzeszyć, przyciągnąć i pouczyć najmniej dydaktycznymi zewnętrznymi metodami o tem, jakto, coto i kiedyto z dzieckiem ma się dziać?..

Kółka oświaty macierzyńskiej u nas już są w tej, czy innej postaci. Ale mało, mało, mało! Każda wieś musi mieć takie źródło, każda Wólka, czy Nędza-Wielka! Wszędzie, gdzie ojciec klnie ciężkimi słowami i pije, albo pije i wali potem, czem i jak się trafi. Każda wieś, gdzie kobieta czuje, że niedobrze się czasem dziecku dzieje, a prosić mi znaleźć taką, któraby tego nie czuła! Tylko niezawsze i nieodrazu wypowie swoje troski. Kobieta jest najdosłowniej glebą, która naszą kulturę, lub niekulturalność w sobie wynasza, ku szkodzie, czy pożytkowi państwa. Matka w Polsce musi być uczona narówni z dzieckiem, a wcześniej od dziecka. Na matce we wsi naszej i w naszym mieszczaństwie, w naszej klasie robotniczej i w naszej... klasie zbrodniczej: powinno się skupić główne, najsilniejsze ognisko oświaty etycznej i praktycznej. Zwłaszcza praktycznej! Na samą głodną etykę pójdzie mało kto. Ale pod egidą wykładów gospodarskich, pielęgnowania niemowląt, gotowania, szycia, lecznictwa, ciąży: można przefiltrować do łona naszej matki ludowej, jeśli się tak epicznie wyrazić wolno: cały światopogląd na chowanie tego dziecka, które rośnie dziczkiem i w domu znajduje zaprzeczenie wszystkiego, czego uczy szkoła. Czy kilka godzin szkolnych może poruszyć caliznę rodzimej naszej, domowej niekulturalności? Czyż może?..

Niepodobieństwo!

To też kto zdoła rządowym wysiłkom w podniesieniu kultury matki dopomóc, jeśli nie kobieta? Jeśli nie ta, świadoma już wagi macierzyństwa kobieta, która nauczy się sama, aby mniej lub zupełnie nieświadomą nauczyć dalej? I w ten sposób do ilości dzieci w Polsce dodać jeszcze i jakość? O tym zawodzie oświaty macierzyńskiej chciałam przypomnieć: jakkolwiek miałby być przyszły zawód zarobkowy kobiety inteligentnej, musi ona najprzód i przedewszystkiem nauczyć się, że jest matką polskiej przyszłości — i oświatę w tym kierunku nieść tam, gdzie ją życie postawi, siostrom, ciemniejszym od siebie.

LUCYNA KRZEMIENIECKA-WOLICOWA

WIOSNA NA WSI

*Jak miękko jest bosym stopom dotykać jedwabnej trawy!
Jak łatwo jest oczom radosnym zabrnąć na stromy błękit!
Jak lekko jest myślom dojrzewać i coraz zieleniejszym się stawać,
i słowom jak łatwo się wiązać w tekst kolorowej piosenki!*

*Pójdziemy pokorni i cisi polem wieczornem naprzelać,
by znaleźć w gipsowej kapliczce odwiecznie wiosenną przystań
i poczuć, że nagle gdzieś w sercu się wiara pszeniczna poczęła,
i słuchać nauki żdziebełek, że można jeszcze zmartwychwstać.*

WIOSNA W MIEŚCIE

*W mydlarni, cuchnącej naftą,
drzwi słońcu zamknięto przed nosem.
Ktoś pod szyję zapiął szczelnie kaftan
i o róże z bibułki poprosił.*

*Na ulicy była szczypta wiosny:
na dnie cichych, wyszczerbionych talerzy
pastelowe sasanki rosły
w wodzie mętnej, zielonawej, nieświeżej.*

*Kraśne baby w pasiastych fartuchach
pilnowały pyzatyh rzodkiewek.
Kwiecień płaczem raz poraz wybuchał
pod samotnem akacjowem drzewem.*

*W nieba modrym, strzelistym ogrodzie
w płatki wzrastał złocisty słonecznik
i balsamem światłości łagodził
bladość twarzy pośród miejskich przecznic.*



Z. ZALESKA

INTELGENTKA

(Dokończenie)

— Kilka dni! — pochyla głowę, mrugając załamionymi oczami.

— Pani... hm... my nie rozporządzamy... Jeśli pani... to z doraźnych mogę tymczasem parę bonów do stołówki.

Cichy szept: — Proszę...

Sekretarka wychodzi do kancelarii i po chwili podaje jej cztery bony.

Jakaż ta zupa dobra... ciepła, z mięsem!... i chleb...

* * *

Biuro T-wa Pomocy dla Inteligencji. Siwowłosa pani ze współczuciem rozkłada ręce: — Wątpię, żeby się co dało zrobić. Obiadów brak. Sekcja pożyczkowa zamknięta znowu, przytem wydają się tylko pożyczki na prowadzenie jakiegoś warsztatu, a pani — biuralistka i samotna... Cóż my możemy poradzić? O, widzi pani? Cały kajet..., i to ludzie z rodzinami czekają... O, były obywatel ziemski, wykształcenie uniwersyteckie, ostatnio urzędnik... w szpitalu chory. Żona, dzieci czworo, dwoje w szkole. Potrzebują bucików i ubrania. Nie mają co jeść, meble wyprzedane, reszta opieczętowana przez komornika... Nauczycielka, lat 40, z matką staruszką i siostrzenicą-sierotą, lat 12... Zgłosiła się miesiąc temu, dotychczas obiadów dla niej nie mamy... I tak dalej, i tak dalej... A pani samotna...

Zapewne... Tak... Inni mają dzieci, rodzinę... A ona cóż?... Jak to w tej angielskiej piosence? „Ani piesek, ani kotek nie troszczy się o mnie“. — Racja... Tamci mają gorzej... dzieci...

* * *

Śnieg pada. Drży w swym wytartym paltociku i kuli się, jak może. Dwie panie spotkały się przed nią i stają, zagradzając drogę.

— Wyobraź sobie: taka jestem oburzona! Urządzili raut na ubogich. Dochód 2.000 zł., a zgadnij, ile jeden tylko z obywateli zapłacił za szampana... Zgroza! całe miasto się trzęsie.

— A ja właśnie idę od Hersego: ciepły staniczek kupiłam pod bluzkę dla Heli, bo marznie na pensji. Panna Leokadja pokazała mi córki tego mecenasa... (nazwiska nie słyhać). — Moja droga, za dwie suknie na raut w salach reutowych zapłaciły 1000 złotych!

Mija rozmawiające i idzie wolno, zamysłona, nie mogąc sobie przypomnieć, co jej przemknęło przez myśli, które teraz uciekają jej gwałtownie z głowy, aż coś w uszach huczeć zaczyna, a w oczach tak ciemno...

* * *

— Leć, Józiek, po policjanta, niech Pogotowie sprowadzi!

— Śniegiem jej twarz rozetrzeć, śniegiem.

— Młode to takie, mój Jezul!

— Bieda tam nie pyta, moja pani, młode, czy stare.

— Pewnikiem z głodu, mizernactwo jakieś.

— Hale, kapeluszowa przecie!

— A to co? A paltocina to jaka... na tyli mróz...

— Albo to te „Kumitety“ psia... radzą i radzą, a naród na ulicy pada.

— Co pan tu będzie gadał? „Wszystkiemu“ to te, o „burziuje“ — juchy winne...

— Krzywdą ludzką żyją!

— Przyjdzie i jeich czas, moja pani, przyjdzie. Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

— Idzie policaj!

Nawet umrzeć nie dadzą.

* * *

„Z prawdziwą radością zaznaczamy, że w sercach warszawian odezwa nasza znalazła gorący oddźwięk. Ofiary zaczęły już napływać. Pierwszy pośpieszył do apelu znany i ceniony w szerokich kołach naszego miasta mecenas X, z hojną ofiarą w kwocie złotych...

Mecenas X, przyjaciel ojca nieboszczyka... Opiera głowę na rękę. Tłum wspomnień ją ogarnia... Jak to już dawno, mój Boże! Uderza ją jedna myśl silniej, natrętniej... Waha się niepewna... Może iść... upomnieć się teraz... Wytlumaczyć, poprosić... (Och, prosić...)

Pożyczył mu kiedyś ojciec nieboszczyk 3.000 rb. na ratę Towarzystwa, ciężącą na domu. Przed samą śmiercią matki dom wystawiono na licytację. Suma ta spadła z hipoteki. Prawnie nie ma słuszności... ale przecież... Filantrop... Nie może być, żeby odmówił, choć po 50, po 40 zł. miesięcznie... Iść?... Dziś już nie. Jutro pójdzie... Jak mu to powiedzieć?... i... żeby się nie rozpłakać...

Podchodzi pod dom pewnym krokiem i nagle zawraca szybko. Trzy razy już była w bramie i uciekła. Wreszcie pędem wpada no piętro i dzwoni bez namysłu już, prędko.

Gabinet obszerny, oświetlony jasno, meble stylowe, wygodne, brzozy. Czeka długo, niecierpliwie. Już podnosi się, żeby uciec, gdy drzwi otwierają się wreszcie i mecenas staje w progu.

— A... jakże mi miło... Dawno pani nie widziałem. Cóż słyhać?

Siada naprzeciw niej, uśmiechnięty przyjaźnie.

A ona bierze w rękę nożyk do papierów i, gnąc go nerwowo w rękę... wypytuje o zdrowie córek, z którymi była na jednej pensji.

Byle ich tylko nie zawołał!

Chwila milczenia.

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem zagryza wargi, nakazując sobie w myśli: mów! Teraz mów! Musisz powiedzieć! — I mówi...

Mecenas sztywnieje momentalnie.

— W tej kwestji ja — o ile — to mógłbym rozmawiać tylko z pani bratem. Pani jest jeszcze, o ile się nie mylę, niepełnoletnia.

— Mego brata niema w kraju.

— Wiem.

...bo, panie mecenasie, ja przecież nie... Rozumiem, że to spadło z hipoteki, więc... Ale gdyby pan... przez dawną przyjaźń dla ojca... ja jestem bez posady...

Wyrzuca słowa gorączkowo ze spuszczonego oczyma. Aby tylko się nie rozplakać, aby... o Boże!

— Bez posady? A dlaczego się pani nie stara? Teraz wprawdzie trudno, ale kto chce, to się zawsze gdzieś wkręci.

Uśmiecha się żałośnie, bez goryczy.

— Trzeba mieć znajomości, panie mecenasie, a moi wszyscy bliżsi wymarli.

— Trzeba się starać koniecznie. Pojmuję pani położenie, ale w tych czasach właśnie miałem tyle wydatków, że, doprawdy, nie mogę pani pomóc. Ograniczyliśmy się sami ogromnie, a tu życie takie drogie i jeszcze ciągle składki, ciągle rauty dobroczynne... Trudno się usuwać na moim stanowisku...

— Tak... naturalnie... na jego stanowisku... A ona cóż przedstawia?... Zero... „Ani piesek, ani kotek nie troszczy się o mnie“. Łzy duszą ją, zaraz spłyną po policzkach.

Do drzwi pukanie.

— Proszę pana na minutkę, mój mecenasie kochany!

Mecenas wstaje szybko.

— Przepraszam panią...

Zostaje sama i, szybko otarłszy oczy, bierze gazetę, leżącą na biurku. Przebiega oczyma czarne kolumny słów. W głowie ma pustkę i tylko serce tłucze się boleśnie w piersiach.

„W salach reutowych odbył się wspaniały koncert-raut, urządzony przez grono artystów-amatorów, niosących chętną ofiarę ze swych talentów na rzecz biednej dziatwy Powiśla. Atrakcją wieczoru były tańce stylowe. Wyróżniły się zwłaszcza dwie panny... córki znanego mecenasa, które w stylowych kostjumach odtńczyły menueta i...“

Opuszcza ręce z gazetą na kolana i śmieje się cicho, serdecznie, długo...

* * *

— Co? pani chce 25 złotych za taki zdarty „kostjum“? W palcach się rozłazi, tu mole wyżarły, o... — Palec handlarki przebija materiał. — Co to warte? Może pani ma futro? Złoto kupuję... Nie?... Takie suknie, to żadne ubranie jest. Same „repracje“ 5 złotych zapłacę. Ostatnia cena — 10 złotych.

Trzask drzwi wejściowych i głośnie rozmowa w pokoju szefa ocuciły ją z tych bolesnych rozpamiętywań.

— Pan radca dobrodziej... Czemże mogę służyć?... Zamykamy, tak. Cóż robić?

Wzięła pióro i pochyliła głowę nad księgą rachunkową.

Syty, męski głos, o przyjemnym, niskim brzmieniu, opowiada coś szeroko.

— ...No i od trzech dni muszę sobie sam herbatę na maszynce gotować. W tych czasach zgodzić pierwszą lepszą służącą z kantoru — to niebezpieczne. Jeszcze człowieka zamorduje, ha! ha! ha! I powiedz pan, co takiej donnie brakowało? Obiadów nie gotuję, bo się stołuję u siostry. Miała ciepły kąpiel, śniadania, kolacje i 40 złotych miesięcznie. Bieda panie, w kraju, a one jeszcze fumy pokazują!

— Śniadania, kolacje i 40 zł. miesięcznie... można przeżyć... Bodaj to służącej!.. Praca niby... ale jedzenie i dopłata... A ona co?... Inteligentka...

Wyraz goryczy wykrzywił jej wargi.

...Lepsza choćby najgorsza służba, niż ten głód... inteligentki... A może... Może go poprosić, żeby ją wziął za służącą?... Jeden człowiek... Obsłużyć go przecie potrafi... Tylko, czy się odważy?...

Skrzyp drzwi. Siwawy, o miłej powierzchowności niski mężczyzna staje w progu.

— Pannie Jadwidze moje uszanowanie.

Wstaje od biurka i podaje rękę.

— Cóż? bieda? Kantor się zamyka.

Fala krwi oblewa jej policzki

— Panie radco... właśnie bo... słyszałam, że pan potrzebuje służącej. Ja już pół roku przeżyłam bez posady, wiem, co to znaczy. Niech mi pan przyjmie... Będę się starała zadowolić pana, umiem przecież... O, niech mi pan nie odmawia! proszę, panie radco...

Radca cofa się zdumiony.

— Co pani?... Jakże? Gdzieżbym ja śmiał...

— Panie radco, ja naprawdę... Łaskę mi pan wyświadczy... O, panie radco... Pierwszy za dwa tygodnie, gdzie ja teraz znajdę robotę?!

Radca potrząsa ją silnie za rękę, zmieszany, zaczerwieniony.

— Ależ, panno Jadwigo! Niech się pani uspokoi. Jakże można tak brać wszystko tragicznie? Młodość, panie, głowa do góry!.. To jest niemożliwe. Sama pani to przyzna po rozwadze. Coby ludzie na to powiedzieli? Jakże ja bym do pani mówił? do czego to podobne?

Szepcze już nieśmiało ze spuszczonego oczyma:

— Ja bym przecie zupełnie, jak służąca...

— Ale ja byłbym skrupowany! Przecież ja jestem stary kawaler. Lubię już wygodę, ciepły szlafrok, pantofle, kawę do łóżka... Jakże ja, na przykład, każę pani pantofle sobie podać? Ha! ha! ha!

Wybuch szczerym śmiechem.

Ma rację. Naturalnie, że ma rację...

HALINA MARJA DĄBROWOLSKA

NA WIOSNĘ

z cyklu „Minione”.

Gdy nadchodziła wiosna, to z nami „już poprostu nie można było wytrzymać!”—byłyśmy jakby nieprzytomne tem, że ona się staje. Ciągłe na dworze, zawsze w ruchu! Uwaga była tylko w jednym kierunku wyostrzona: jak uciec z domu i podpatrzeć jej robotę.

Zaczynało się to od ptaków, które przylatywały wtedy, kiedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że wiosna się zbliża. One to w pustce jednostajnego nieba sunęły linjami, na których znałyśmy się tak dobrze, prawie jak sam pastuch. Pierwsze były żorawie. Ich przeciągły krzyk usłyszałam rankiem jeszcze ciemnym. Pobiegłam boszo do okna, ale w ciemności nie było ich widać—wołały tylko i przeminęły.

Nikt w domu nie chciał mi wierzyć. Coś mi się musiało śnić, przecież jeszcze śnieg leżał! Lecz my od tej chwili stanęłyśmy na czatach. Nie mógł nam ująć przelot ani jednego ptaka. Patrzyłyśmy teraz często w niebo kwadransami, czekając, czy się nie zjawią. I widziałyśmy, że niebo przestało być szarem przesćcieradłem, lecz podarło się w kawały grubych chmur. Te kry, które popękały na stawie w naszym ogrodzie, ruszyły jakby nagle po niebie. Przesuwały się przez słońce bryłami puszystymi, wychodziły naprzeciw księżycu, który deptał po nich pośpiesznie i nieśmiało. Widziałyśmy dzikie gęsi, kaczki, przepiórki, bociany—codzień stada. Ptaki najłatwiej było dostrzec o zmroku. Uciekałyśmy z domu, gdy za nami szły nawoływania: „Czy wzięłaś szubkę, czy masz na sobie salopkę?” i biedna mama stała w drzwiach, gdy nas już nie było.

To bowiem, co się stawało z dnia na dzień z ogrodem, też chwycić trzeba było na gwałt, żeby zdążyć spostrzec. Drzewa nie miały jeszcze pączków, lecz zmieniały cerę, to znaczy, że innego koloru nabierała kora. Łozy niektóre stawały się ciemno-czerwone i krzepko biły w niebo swym rysunkiem. W gabinecie ojca wisiała tablica anatomiczna krwionośnego układu człowieka. Siostra pokazywała mi zaczerwienione drzewa: — „Czy nie są, jak żyły na tamtej tablicy?”—Czerwone też były strzały pierwszych łodyg kwiatów cebulkowych, wygarniętych przez nas z pod liści.

Teraz nadszedł czas, żeby się wybrać do pewnego jaru zobaczyć krokusy. Wyruszył nawet ojciec i matka, wszyscy. Szło się po śniegu w pustkę stepu. Już śnieg nie miał swego koloru: był siwy, może niebieski i ustępliwy nogom, które go deptały.

Na zboczach jaru rozpościerały się jeziorka—liljowe smugi, jakdyby kawałkami pozostał na śniegu liljowy zmierzch dnia: to tak wyglądały zdaleka krokusy. A zbliżona — miliony zamkniętych kieliszków jasnych kwiatów, wykwitających bez liści, wprost ze śniegu. Z pomiędzy płatków wisiały rzęsy pręcików. Przejsz do zagajnika trzeba było przez nie wbród, jak przez rzekę. Ale któż mógł ciężką podszew położyć na dziesiątkach twarzy tych pierwszych kwiatów wiosny?...

W zagajniku między nagimi gałęzmi stały się przecież rzeczy, które ujrzałyśmy już gotowe. Drzewa liściaste zakwitły. Zakwitły w niezrozumiały dla nas sposób, bo kwiat, według naszego dziecinnego wyobrażenia, musiał mieć barwę, jaskrawe płatki, musiał się chwalić swoją pięknnością. Nie zwracałyśmy uwagi na ich nieśmiałość, wstydliwą, brzydką kwitnienie samo dla siebie, na tę wolę miłości, która jest ponoc, bo nie daje owoców, ni nasion. Klony, buki, topole, olchy rzucały na nas swoje bazie, które deptałyśmy z ochotą, obojętnie...

Cóż to bowiem było w porównaniu z tem, co się działo na ziemi! Wprost orgia kolorów! Na osuszonych słońcem wzgórzach skupiały się koło siebie, jedno przy drugich, niebieskie dzwonki stilli. Znowu nie można było znaleźć miejsca, gdzieby stąpnąć, nie deptać. Ponad ich szafirowem chwianiem się stały wysmukłe, białe stożkowate kwiaty, jak świece na ołtarzu ziemi: to kokorycze. Żółte tulipany, które tu rosły dziko, dzwoniły nad tem świętem.

Najdziwniejsze, nieodnalezione nigdy w naszych dziecinnych atlasach botanicznych kwiaty buchały tutaj z ziemi, jak niespodziewany płomień wiosny. Pustka i monotonja stepu nagradzała tą nagłą niespodzianką, ową przeraźliwą bujnością roślin, okres ciągłej posuchy i martwoty lata. Zebrałyśmy kwiaty do ozdoby stołu i powracałyśmy do domu. Nazajutrz wypadły imieniny ojca, dzień uroczystego przyjęcia. Tego roku imieniny stały się dla nas, dzieci, wielkim wydarzeniem dlatego, że wykończono właśnie z powodu nich nowy piec w piekarni. Niedaleko domu stała ta czeluść ciemnego otworu, dokąd szły płaskie, blade placki, a skąd wracały rumiane, grube torty i baby. Wolno nam było zobaczyć nowy piec i ciasta. Kucharka drewnianą igłą kłula i próbowała placki, czy są upieczone, i chociaż nic nie było na igle, ona wiedziała, co o tem sądzić. Piec oglądaliśmy również z całą rodziną, dużo też było gapiów z po-

śród ludzi na podwórzu, którzy stali przed oknem i medytowali nad nową piekarnią.

Ojciec rozstał się z nami i poszedł odwiedzić chorą siostrę Sołomyji. Sołomyja służyła u nas za ledwie parę dni, lecz zapamiętałyśmy ją sobie dobrze. Właściwie przyjęta była na służbę do hodowania drobiu, ale zawołano ją do dworu, gdy nagle zachorowała pokojówka Iwa, w dzień wielkiego u nas zebrania. Sołomyja, która swoich szesnastu lat doczekała się na dalekim futorze, nie musiała wiedzieć, jak żyją inni ludzie,—wprowadzona do pokoju, zupełnie zrozumieć nie mogła znaczenia sprzętów. Do przyborów umywalnianych schowała rękawiczki matki, dywanami poprzykrywała łóżka, a spluwaczki, pieczołowicie przez siebie wyczyszczone, postawiła na kredensie.

Jej indywidualność w ocenianiu rzeczy zagrażała zawsze czemś niespodziewanem.

Wówczas na tem przyjęciu imieninowem niosła tacę z talerzami. Szła uroczysta, przejęta chwilą, gdy nagle posypały się jej noże i widelce z tacy na ziemię. Lecz nic nie straciła ze swej powagi: nim ktokolwiek się spostrzegł, opamiętał—zrzuciła pantofel i palcami bosej nogi pochwyciła nóż i podała sobie do ręki. Małpim, zręcznym ruchem czyniła to jeszcze parę razy z resztą widelców i noży, kładąc je spokojnie na tacy obok innych.

Ewenement był tak wielki, że wszyscy zamilkli, nim później wybuchnęli śmiechem, a matka nasza zmieszała się prawie do łez nietaktem służącej. — Otóż ta Sołomyja miała nam, dzieciom, w dniu tym uchylić okno na niezgłębioną czelusz nie pewności — kto jest winien. Było to już wieczorem po imieninach ojca, gdy rozjechali się goście, a rodzice i my, po dokonaniu szczęśliwego dnia, w jadalni wspominaliśmy tych, którzy właśnie odjechali. Nagle wbiegła kucharka z wielkim krzykiem, że Sołomyja chciała swoją małą siostrę żywcem spalić, włożyć do owego nowego pieca po wypieczeniu ciast: miał to być nieomylny środek na krosty, który jej poradziła znachorka Artemowa.

Ojciec, zerwawszy się, zaczerwienił się tak bardzo i skurczył twarz, że wiedziałyśmy, iż na godzinę może starczyć tego gniewu. Zawołano Sołomyję. My z pokoju musiałyśmy wyjść; słysząc jednak przez drzwi, doszłyśmy do wniosku, że mała siostra Sołomyji była chora i prócz tego miała kołtun. Regulamin szpitala naszego ojca nakazywał golić włosy każdemu choremu na kołtun po przyjęciu go do sali chorych. Na to wielu chłopów nie chciało się zgo-

dzić. Kołtun obcięty miał sprowadzać ślepotę, paraliż, głupotę, lub wprost brak szczęścia. Zadany urokiem—mógł być zdjęty tylko urokiem. Dla niemowląt był nawet poszukiwany, jako ktoś, co chroni od wielu niebezpieczeństw. Z tym kimś, co żył z człowiekiem, jako drugi osobnik, nie wolno się było rozprawiać, jak z rzeczą, czy chorobą.

Sołomyja wołała sama leczyć siostrę, niż poddać się wymaganiom szpitala.

— Tybyś mogła w ciężką chorobę wpędzić siostrę! — wołał ojciec — kto wie, czyby nie umarła przez ten twój piec!

— To nie mój piec, a wasz! — zaperzyła się nagle Sołomyja,—to wyście winni, że taki wielki piec stawiacie i od kołtunów głowy golić każecie. Jeżeli moja siostra umrze, to wy, panowie, będziecie winni!

— Wyjdź, Sołomyjo, z pokoju,—mówiła matka prędko, — wyjdź natychmiast!

I rzeczywiście ucichło. Matka skarżyła się tylko: „Ach, jacy ludzie są niesprawiedliwi!“ — może nawet płakała.

Stało się dla nas jasne, że jeszcze długo potrwa atmosfera tego zdarzenia. Nie byłyśmy zdecydowane, czy przejąć się chwilą... i na wszelki wypadek, dla rozerwania się, postanowiłyśmy, jak za dawnych lat, wleźć pod obrus ogromnego stołu i zabawić się z siostrzyczką w podróż daleką do Warszawy, a może do Indyj.

Gdyśmy wróciły do rodziców, było już jakby wszystko zapomniane: ojciec czytał gazety. Naraz mama zaczęła mówić nieśmiało i podchlebnie, jak wówczas, kiedy miała prośbę, jak gdy chodziło o to, żeby w najcięższą pracę żniw zabrać konie na spacer, lub wytapetować świeży zupełnie pokój niebieski na różowo. Ja się zawsze solidaryzowałam w tych prośbach z matką i nagle usłyszałam te słowa:

— Wiesz, jednak ona miała rację.

— Kto? — spytał ojciec.

— Sołomyja. To my jesteśmy winni...

Sądziłam, że matka powiedziała coś niewłaściwego, czekałam, czy twarz ojca zmaleje, pouklada się w fałdy, jak wówczas, gdy jest niezadowolony, i pragnęłam tego, bo nagle jakby w naszym domu od tych słów zabrakło powietrza. Lecz ojciec nie powiedział nic; przeciwnie: popatrzył łagodnie i smutno. A matka mówiła jeszcze:

— Bo czyż nie każdy z nas jest winien, kiedy zły los, głupota, nieszczęście, czy zbrodnia spotyka innego człowieka?..



OBRAZY IRENY ŁUCZYŃSKIEJ-SZYMANOWSKIEJ

Na ostatniej wystawie w Zachęcie całą wielką salę zajęła płótnami swemi kobieta: Irena Łuczyńska-Szymanowska. Jest to dorobek z kilku ostatnich lat.

Widzieliśmy już tę damę w aksamitnej czerni z grzebieniem hiszpańskim we włosach, i te akty kobiece, rzucane na płótno z renesansowym rozmachem, żywe w ruchu, jakby walczące z rozwianą draperją, którą wydyma wicher wiekuistego niepokoju, i ten stragan jarzyn i owoców, nad których barwną orgią łączy się para ludzi w miłosnym pocałunku.

Widzieliśmy już parokrotnie te zdecydowane w rysunku, mocne w ujęciu, trochę jakby surowe w kolorystyce dokumenty zdrowego i bujnego talentu, który się nie czepia niewolniczo modnych prądów chwili, ale korzeniami swemi tkwi głęboko w podglebiu sztuki, czerpiąc ożywcze soki aż w monumentalnych dziełach Michała Anioła.



Irena Łuczyńska-Szymanowska



Irena Łuczyńska-Szymanowska — „Tulipany”

Ten kult dla wielkiego mistrza Odrodzenia ujawnia się przede wszystkim w traktowaniu nagiego ciała i w upodobaniu do draperji. Strój nowoczesny, szczególnie męski, zasklepiający ciało ludzkie w sztywną skorupę szablonu, wywiera na artystkę wrażenie wprost deprymujące. Kępuje jej siłę dynamiczną więzami konwencjonalnego portretu, który ma zresztą wszystkie cechy poprawności, podobieństwa, opanowanej techniki, ale w którym napróżno szukalibyśmy tego polotu, jaki rozsadza poprostu ramy jej kompozycji.

Powyższa uwaga nie odnosi się do dwóch wizerunków kobiecych, które poraz pierwszy ukazały się na wystawie obecnej. Jeden—to wspaniały profil ciemnowłosej kobiety, rzucony na fosforyzujące tło wielkiego miasta w nocy. Postać kobiety, wychylającej się z okna, jest konkretna, żywa, plastyczna. Natomiast widok, który ją fascynuje, ma wszystkie cechy zjawy. Może to być Warszawa, zarówno jak Londyn, lub Wiedeń. Wizja wielkiego miasta, czarem swym przykuwająca piękny i silny typ kobiecy.

Nowe, niewyzyskane dotąd przez artystkę, środki malarskie odnajdujemy w portrecie Oli Leszczyńskiej, który stanowi „clou” wystawy, nie tylko dzięki mistrzowsko uchwyconemu podobieństwu, ale dzięki subtelnej zastosowaniu techniki do psychiki modela. Wątpię,



Irena Łuczyńska-Szymanowska — „Zaczylana”

bezcieleśna, histeryczna sylwetka młodej artystki, doskonale reprezentującej na scenie schyłkowy typ niedojrzałej fizycznie, a przekwitłej duchowo „garsonki” — ujęta została w linję kapryśną, niezdecydowaną, płynną, zlaną z tłem, które stanowi poniekąd jej emanację psychiczną, a nie jest tylko przypadkowym zestawieniem martwych przedmiotów z żywą, niepokojącą, rozedrganą nerwami istotą.

Ta ostatnia praca otwiera nam nowe perspektywy w twórczości Łuczyńskiej-Szymanowskiej.

Swoboda, z jaką artystka przerzuciła się od klasycyzującej, monumentalnej formy wypowiedzania się, do metod okresu poimpresjonistycznego — świadczy o możliwościach dalszego rozrostu, któremu trudno byłoby w danym momencie zakreszyć teren i granice.

Mamy jednak prawo wnioskować, że jakkolwiek drogę obierze sobie talent artystki, będzie to zawsze droga, zgodna z istotą jej twórczości, i że we wszystkich przewidywanych próbach zachowa ona zawsze ten szczery, bezpośredni i zdrowy stosunek do sztuki, jaki nie pozwolił jej pójść na żołąd zmiennych hasel chwili i kazał jej szukać własnej linii rozwojowej, zgodnie z założeniami wrodzonych inklinacyj i upodobań.

St. Podhorska-Okołów



Z ŻYCIA EKRANU

(Jeszcze o kinematografii polskiej. — Współpraca z zagranicą. — Filmy dokumentalne).

W bieżącym sezonie prawie niema miesiąca, w którymby przynajmniej na jednym z warszawskich ekranów nie wyświetlano filmu polskiego, co stwarza pozory zorganizowanej produkcji. Niestety! są to tylko mniej, lub więcej efektowne fajerwerkowe ognie, a nie — światła, stale płonące. Nie mam zamiaru powtarzać tu, z okazji ostatnich polskich premier, syntetycznej oceny naszej kinematografii; było to robione już nieraz, a odchylenia od wyrażanej nawet na tem miejscu opinii są tak drobne, że nie warto się nad niemi zastanawiać. Jednakże dla „Huraganu” muszę zrobić wyjątek. Film ten, bowiem, nasuwa pewne refleksje, będące w ścisłym związku z linią rozwojową naszej produkcji kinematograficznej. Przedewszystkiem jest to pierwszy film polski historyczny, stylowy, ilustrujący zagadnienia głębsze, niż konflikty „trędowatych”, i świadczący o tem, że, tak samo, jak francuzi, Niemcy i Amerykanie, możemy pozwolić sobie na wskrzeszanie historii, w której mamy tyle momentów pięknych, wzruszających i bohaterskich. Ma to bez-

względnie znaczenie wychowawcze dla nas, a — propagandowe dla obcych, którzy często nie orientują się w naszej teraźniejszości, a coś dopiero — w naszej przeszłości! (Przypominamy sobie, jakie fantastyczne nonsensy o sobie musieliśmy oglądać we francuskim filmie „Gracz w szachy”, osnutym, rzekomo, na tle naszej historii).

Drugim ciekawym momentem w „Huraganie” jest współpraca z siłami zagranicznymi. Nie wiem, dlaczego nasi kinematografisci dotychczas tak tego unikali. Pomoc doświadczonych fachowców na terenie X muzy, dla nas ciągle jeszcze nowym, trudnym i kryjącym tysiące niespodzianek — napewno mogłaby nam przynieść tylko korzyść, nie przynosząc żadnej szkody „polskości” naszych filmów, czego najlepszy dowód mamy właśnie w „Huraganie”. Wiedeńscy dekoratorzy i operatorzy potrafili nietylko odtworzyć stylowe wnętrza, ale z niezwykłą, jak na cudzoziemców, intuicją umieli oddać ich „atmosferę”: w ugrupowaniach, w wyborze tła, w oświetleniach — wszędzie

unosił się duch Grottgera. Inna kwestja, że skoro chodzi o zagraniczną pomoc, nie dekoratorzy i nie operatorzy są naszą achillesową piętą: jest nią raczej reżyser i scenarzysta. Tym głównie przydałyby się lekcje u wytrawnych majstrów. Wówczas może niejednemu z naszych rodzimych Murnau'ów czy Griffith'ów poznałby, na czym polega tajemnica unikania takich błędów, jakie niedoświadczenie podyktowało w „Huraganie”—przedewszystkiem scenarzyście, a następnie reżyserowi. Przekonaliby się, że, ażeby widza wzruszyć, nie należy kazać mu ciągle asystować przy rzeczach smutnych, bo wtedy szybko się do nich przyzwyczai i przestaje na nie reagować. Ażeby widza wzruszyć, należy umiejętnie operować kontrastami. Prawda, że nad powstaniem styczniowem cięży chmura beznadziejności i że ten nastrój należało oddać (i to się poniekąd udało), ale inaczej się patrzy na to z historycznej perspektywy, a inaczej—zbliska. Widz nie powinien odczuwać, że akcja, którą ogląda, to—jakieś wycinki z historii: widz musi odnieść wrażenie, że mocą czarodziejskiej sztuki został przeniesiony w przeszłość i sam znajduje się wśród ludzi i zdarzeń danej epoki. Trzeba było w „Huraganie” pokazać też zwykłe życie „na codzień”, przemieszać patos bohaterstwa ze zwykłością codziennych spraw ludzkich, jak naprz. w „Świecie w płomieniach”.

Jednakże, mimo wszystkich błędów, twórcy „Huraganu” wykazali tyle inicjatywy w technicznym przygotowaniu zdjęć (choćby walki nocne w zaułku)—tyle rzetelnego wysiłku i szlachetnych ambicji, że należy im się gorąca zachęta do dalszej pracy na polu kinematografji.

Będąc zwolenniczką współpracy Polski z zagranicą na tym terenie, bez względu na układ sił (pomoc techniczna, finansowa, artystyczna)—nie mogę jednak przyklasnąć takiej kombinacji, jaką spotykamy w „Przedpieklu”. Na długo przed ukazaniem się tego filmu w Warszawie, czytaliśmy zachwyty nad tem, jak to powieści Zapolskiej świetnie nadają się do przeróbek filmowych i—ubolewania, że odkrycie to zrobili Niemcy, wyrывая nam z rąk to, czegośmy nie umieli wyzyskać sami. Tu stosunek sił miał być odwrotny: kapitał niemiecki, wytwórnia niemiecka, zespół niemiecki, scenarjusz — polski. Osobiście nie uważałam tego za takie nieszczęście. Włosi sfilmowali „Quo vadis” poraz pierwszy przed 20 laty, bo mieli na to środki, których myśmy nie mieli. Nie zaszkodziło to ani Sienkiewiczowi, ani Polsce. Ponieważ ogólny poziom kinematografji niemieckiej jest bez porównania wyższy od naszego, można było się spodziewać, że przy pomocy dobrze zrobionego filmu Zapolska dotrze poprzez widza także i do niemieckiego czytelnika, co przecież byłoby tylko naszym zyskiem. Tymczasem spotkała nas przykra niespodzianka. Z „Przedpiekla” wzięto tylko najsurowszy szkic, który, w oderwaniu od środowiska, nie jest ani lepszy, ani gorszy od tysiąca innych scenarjuszów. O zachowaniu polskiego charak-



Scena z filmu „Huragan”

teru typów i tła niema tam mowy, tak samo o jakiegokolwiek stylowości. Zaznaczono w napisie, że rzecz dzieje się w r. 1885 (a więc prawie przed pół wiekiem!), ale wszystkie pensjonarki ubrane są w sukienki do kolan i ostrzyżone na garsonki. Zresztą, jest to tylko jeden z wielu szczegółów nieinteligentnej reżyserji. Film ten, jako jeden z gorszych niemieckiej produkcji, małoby nas wogóle wzruszał, ale poco było mieszać do tej sprawy Zapolską? Przeciwnie tego rodzaju „współpracy” powinniśmy stanowczo zaprotestować.

O tem, że świat jest o wiele ciekawszy, niż wygląda w wątpliwej wyobraźni kiepskiego reżysera, możemy się przekonać najłatwiej na filmie dokumentalnym „Bohaterowie Sahary” (La croisière noire *). Niema tam nic, prócz prawdy, najczystszej prawdy, notowanej i utrwalonej przez obiektyw podczas wyprawy na samochodach-gąsienicach wpoprzek łąd afrykańskiego od Oranu do Madagaskaru. Ale w tej „suchej” prawdzie jest tyle fantazji, tyle piękna, tyle patosu, że patrzy się na nią, jak na bajkę z 1001 nocy! Mijamy „góry i rzeki”, przemierzamy dziewicze lasy, nietknięte stopą ludzką, poznajemy dziwne plemiona, patrzymy na ich barbarzyńskie zwyczaje i dziwaczne tańce. I doznajemy coraz to innych uczuć: raz jest to litość dla Pigmejów, pędzących życie

*) Słynna wyprawa, finansowana przez Citroën'a. Zdjęć dokonano pod kierunkiem znanego realizatora franc. Leona Poirier.

w wiecznej ciemni lasów, to znów—wstręt, jaki budzi jakiś barbarzyński szczep, upodabniający się rozmyślnie do fetysza-żwierzęcia;—groza na widok samotności człowieka, zagubionego wśród „oceanu piasku“, wreszcie — głęboki podziw dla nigdy niezmordowanego ducha ludzkiego, wiecznego poszukiwacza i odkrywcy.

Takie filmy, jak: „Biała śmierć“ (wyprawa kap. Scott'a do bieguna południowego), „Wyprawa na Ewe-rest“ i „Bohaterowie Sahary“ — są czemś więcej, niż wizualnym pamiętnikiem podróży: są żywym dokumentem nigdy nieustającej walki Człowieka z Przyrodą, zdradzającą tylko za cenę wielu ofiar swe pilnie strzeżone tajemnice.

Stef. H.

NATALJA JASTRZĘBSKA

DWA ZJAZDY PEDAGOGICZNE W WARSZAWIE

W dniach 14 i 15 kwietnia odbyły się w Warszawie dwa zjazdy nauczycielskie.

Najliczniejszy był zjazd delegatów kół Tow. Nauczycieli szkół średnich i wyższych, na który przybyło przeszło 200 osób ze wszystkich stron kraju.

Otwarcie zjazdu nastąpiło o godz. 10 i pół w auli uniwersytetu; prócz delegatów, obecni byli przedstawiciele ministerstwa wyznań i oświecenia, pracy i ochrony społecznej, uniwersytetu warszawskiego, oraz liczni wizytatorzy szkół.

Po ukonstytuowaniu się prezydium, zebrani uchwalili wysłać depesze hołdownicze do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i do marszałka Piłsudskiego.

Głównym tematem obrad była w pierwszym dniu sprawa szkolnictwa zawodowego; o niej to mówił rektor W. S. H. prof. Miklaszewski.

Szkolnictwo zawodowe jest niezmiernie ważne w każdym kraju: ono to chroni społeczeństwo przed nadprodukcją ludzi, którzy po ukończeniu szkoły średniej, nie mogąc z powodu braku środków, a najczęściej—zdolności i chęci, przejść do szkół wyższych—stwarzają proletarijat inteligencki, bez określonego fachu i zawodu. Jest również kłapą bezpieczeństwa przed nadprodukcją t. zw. wolnych zawodów z jednej, a zbytniego napływu do kariery urzędniczej (jak było, np., w dawnej Galicji) z drugiej strony.

Dobrze postawione szkolnictwo zawodowe nie spełnia jednak roli wyłącznie ochronnej. Przeciwnie: rolę twórczą. Najwspanialszy rozwój techniki, gospodarstwa i przemysłu widzimy w krajach o doskonale rozwiniętym szkolnictwie zawodowym, jak: Ameryka, Niemcy, Szwajcaria, Belgja, Japonja.

Rektor Miklaszewski dał w swym referacie ciekawą statystykę szkolnictwa i omówił gruntownie różnorodne typy szkół.

Prelegent podniósł nadto niezmiernie ważną sprawę: rolę szkół zawodowych, jako d o k s z t a ł c a-

jących. Istniejące u nas dotychczas typy szkół średnich zawodowych mają stanowczo za niski i za ubogi program ogólnie kształcący.

Po referacie prof. Miklaszewskiego rozwinęła się ożywiona dyskusja, w której poszczególni mówcy omawiali specjalne typy szkół: rolniczych, handlowych i t. p.

Po przerwie południowej dalszy ciąg obrad poświęcono sprawom nauczycielstwa. Zabrał głos dr. B. Nawroczyński, wygłaszając referat: „Rola nauczycielstwa szkół średnich w naszym życiu kulturalnem.“

Dyskusja b. ożywiona po referacie, zarówno jak i sam prelegent, wykazali jasno, że główną przeszkodą do racjonalnej działalności kulturalnej nauczycielstwa jest jego ciężkie położenie materialne, brak środków na kształcenie się i brak poparcia ze strony władz szkolnych.

Drugi dzień obrad wypełniło sprawozdanie z działalności zarządu, oraz wnioski i rezolucje.

T.N.S.W. stoi zawsze na stanowisku odrębności szkoły średniej, to też zebrani zgłosili protest przeciwko projektowi M.W.R. i O.P. zniesienia kuratorów szkół średnich, polecając zarządowi wszcząć starania o utrzymanie departamentów.

W sprawie szkolnictwa zawodowego wezwano zarząd do starań o utrzymanie Rady naczelnej do spraw tegoż szkolnictwa.

Następnie zgromadzenie uchwaliło dalsze energiczne prowadzenie starań o zniesienie ustawy z 1925 r., redukującej pensje nauczycielskie, i zapewnienie nauczycielom wyższych poborów, które jedynie umożliwią celową i wydatną pracę pedagogiczną. Szkolnictwo prywatne, przechodzące obecnie ciężki kryzys materialny, powinno stanowczo uzyskać subsydia państwowe, a nauczyciele prywatni—prawa pracowników państwowych.

Powzięto jeszcze szereg uchwał w sprawie kształcenia się nauczycieli, bibliotek i czasopism.

Bardzo ciekawy był zjazd—pierwszy raz zorganizowany—sekcji nauczycieli robót ręcznych polskiego Związku nauczycieli szkół powszechnych.

Na Zachodzie roboty ręczne stanowią poważny przedmiot nauczania i stoją bardzo wysoko, nie tylko w szkołach powszechnych, lecz i średnich. Ambicją każdej, dobrze postawionej uczelni jest mieć wyborowe warsztaty, najnowsze narzędzia i przyrządy różnorodnych robót ręcznych. Istnieje też tam cała literatura pedagogiczna tego działu, świetne podręczniki, artystyczne wzory. Każdy pedagog zna tam doskonale wartość robót ręcznych w szkolnictwie, które wyostrzają zdolność obserwacji, uczą zamieniać myśl w czyn, kształcą zręczność i zmysł piękna, wyrabiają energję twórczą i praktyczność. W Belgji i Szwajcarji np. uczeń lub uczenica, mające złe stopnie z robót ręcznych, uważani są za niedostatecznie pilnych i... niedostatecznie rozwiniętych—stanowi to rys ujemny w ogólnej ocenie charakteru dziecka!

U nas jest jeszcze pod tym względem dziś prawie ten sam stan rzeczy, który kiedyś znakomicie zdefiniował Prus, mówiąc, że jeśli każemy polakowi coś określić, wypowie nam o tem traktat filozoficzny, lub poemat; ale zażądajmy od niego, aby narysował najprostszą rzecz, a nie zrobi dwóch kresek prawidłowych!

Roboty ręczne uważane są za rzecz *minorum gentium*, przedmiot, w szkolnictwie za ledwie tolerowany, na który szkoda czasu i pieniędzy.

A tymczasem umiejętność wykonania różnych drobnych przedmiotów użytku lub piękna jest dla każdego człowieka ułatwieniem życia i wypoczynkiem po pracy umysłowej, lub ciężkiej fizycznej; dla dziecka zaś w wieku szkolnym posiada jeszcze i to ważne znaczenie, że wielokrotnie może wydobyć na jaw ukryte zdolności i zamiłowania i stać się poważną wskazówką przy wyborze dalszego zawodu.

Na szczęście, zaczyna się już duża poprawa w tym kierunku, a inicjatorami jej są młodzi i pełni zapału pionierzy, nauczyciele, którzy przez dwa dni obradowali w Sali Muzeum pedagogicznego. Tematem referatów i ożywionych dyskusyj był program nauczania robót ręcznych w szkołach powszechnych, średnich i ogólno-kształcących. Zebrani przyjęli najsluszniejszą zasadę, że dążeniem naszej pedagogiki powinno być stworzenie wzorów rodzimych, których bezcenną kopalnią jest sztuka ludowa. Na ten temat wygłosił prof. Andrzejewski piękny referat: „Architektura polska drzewna“.

Nie szukać obcych wzorów, z których wiele, jak np., skandynawski slöjd, nie ma danych do zaaklimatyzowania się w Polsce, lecz stworzyć należy w szkolnictwie własny program robót, szeroko zakreślony i oparty na własnych wzorach.

Jak wnosić można z obrad i uchwał tego pierwszego zjazdu nauczycieli-specjalistów, wkładających w swą pracę serdeczny zapał i umiłowanie—sprawa ta na dobrej znajduje się drodze.

Z KSIĄŻEK

J. Conrad Korzeniowski. „Zwycięstwo“ — przełożyła Aniela Zagórska. Wydawnictwo Zakładu Nar. Imienia Ossolińskich.

Każda nowa książka Conrada, ukazująca się w przekładzie polskim, stanowić powinna wydarzenie w naszej literaturze. Dlaczego tak nie jest, dlaczego, pomimo postawy pełnej powagi i czci, jaką raz na zawsze przyjęła krytyka nasza wobec wielkiego pisarza, nie stał się on dotychczas i prawdopodobnie nie stanie nigdy ulubieńcem mas, ale może być nieocenionym towarzyszem samotników i niepoprawnych indywidualistów, którzy w jego bohaterach znajdują odbicie własnych tęsknot i ideałów życiowych? Oto poprostu dlatego, że przeciętnego czytelnika, szukającego w lekturze tanich podniet i lekkostrawnych efektów, odstraszy na samym wstępie szorstkie, zimne, twarde, bezwzględne ujęcie rzeczywistości, nieco przydługa ekspozycja, żelazna konsekwencja charakterów, wymagających czasu i przestrzeni dla swego rozwoju. Trudno jest ocenić granit z samego pozoru, nie znając jego wewnętrznych, ukrytych pod szorstką i nieprzystępną powłoką, wartości. Każdy utwór Conrada jest bryłą granitu, ciosaną mozolnie gigantycznymi uderzeniami młota, w których czuć zmaganie się potężnej indywidualności z żywiołem. Ta walka z własnym twórczym kończy się zawsze bezwzględnym zwycięstwem twórcy, ale, zanim to nastąpi, czytelnik przebrnąć musi przez olbrzymie pobojuwisko ludzi i faktów, nie zdając sobie narazie sprawy, że najdrobniejszy z nich jest cegiełką nieodzowną w konstrukcji powieści, jest nerwem, organicznie zrośniętym z całością, i jego brak równałby się zahamowaniu skomplikowanej akcji, stale i konsekwentnie zdążającej do niechybnego celu.

W utworach Conrada niema rzeczy zbędnych, niema ustępstw na rzecz stylu, czy nastroju: wszystko jest niezbitym faktem, koniecznością dziejową w życiu jego bohaterów. Stąd ta epicka zwartość, która utworom jego nadaje kształty monumentalne. Przebrnięcie przez gęstwinę przeszkód, jaką Conrad jakby rozmyślnie piętrzy przed czytelnikiem, nie należy do rzeczy łatwych, ani przyjemnych; ale kto na nią się zdobędzie, ten hojnie będzie nagrodzony świadomością dokonanego czynu, w którym współdziałać musi z autorem, jeśli chce osiągnąć pełnię rozkoszy estetycznej, tkwiącej potencjonalnie na dnie utworu.

Doskonały przekład p. Anieli Zagórskiej uwydatnia wszystkie wartości oryginału. [S. P. O.]

Kobieta w świecie i w domu

IV WALNY ZJAZD KOMITETU SPOŁECZNEGO PRZYSPOSOBIENIA KOBIET DO OBRONY KRAJU

Dnia 13 kwietnia r.b. odbył się IV Walny Zjazd Komitetu Społecznego Przysposobienia Kobiet do obrony Kraju, obelany przez delegatki wszystkich stowarzyszeń należacych do Komitetu, a mianowicie: Koła Polek, Stow. Służba Obywatelska, Rodziny Wojskowej, Polskiego Białego Krzyża, Związku Harcerstwa Polskiego, Organizacji Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju, Klubu Wioślarek i Kobiecego Klubu Strzeleckiego.

Po zagajeniu przez Przewodniczącą Komitetu p. Łubieńską, przewodnicstwo Zjazdu obięły pp. Grocholska i Bratkowska, do Prezydium Zjazdu zaproszono pp. Latkowską i Bojanowską.

Zarząd Komitetu złożył sprawozdanie ze swej działalności, z którego wynika, że propaganda prac p.w. rozwija się coraz szerzej, głównie dzięki organizacji obozów letnich. Przybyły do Komitetu w okresie sprawozdawczym, jako członkowie czynni: Kobiety Klub Strzelecki i Organizacja Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju. Uruchomiona została Poradnia Sportowa, w której przeprowadzane jest systematyczne badanie lekarskie ćwiczących członkiń. Porad udzielono 143. Przy Zarządzie funkcjonuje Komisja Dostaw, która zaopatruje członkinie w prz. pisowe ubranie p. w. i sportowe, oraz sprzęt sportowy. Zarząd prowadzi w dalszym ciągu prace inwestycyjne na boisku na Marymoncie; boisko już w tym sezonie letnim będzie oddane do użytku ćwiczących. Komitet uzyskał w Kościerzynie długoterminową dzierżawę terenu na stały obóz letni, gdzie przeprowadzi niezbędne urządzenia, jak: studnie, barak administracyjny, kuchnię, boisko. W roku 1927 zarejestrowano ćwiczących członkiń 3 378 na terenie wszystkich D.O.K.; lecz nie są to dane wyczerpujące, gdyż tylko część stowarzyszeń zgłosiła swe zespoły ćwiczące w Komitecie. Uzupełnienie nastąpi po sprawozdaniach stowarzyszeń, przesłanych po ich walnych zjazdach. Główny i największy wysiłek Komitetu skierowany jest na obozy letnie, których w r. ub. było trzy, liczące około 500 uczestniczek. Jest to najtrudniejszy, lecz i najradośniejszy dział pracy Komitetu, ze względu na swe bezpośrednie, a nadzwyczaj dodatnie wyniki. Po sprawozdaniu kasowem i Komisji Rewizyjnej udzielono Zarządowi absolutorjum.

Głównem zadaniem Zjazdu było zbadanie gruntowne dotychczasowej organizacji wewnętrznej pracy i przeprowadzenie szeregu zmian w dotychczasowym statucie, mającym na celu unormowanie i sprecyzowanie stosunku stowarzyszeń, wchodzących w skład Komitetu, do pracy w Komitecie. Najważniejszą zmianą w dotychczasowym ustroju Komitetu będzie na przyszłość jednokrotna reprezentacja ich w Komitecie—bez względu na stan liczebny danego stowarzyszenia—w osobach 4 delegatek na Walnym Zejeździe, oraz jednej w Zarządzie. Uchwalono również zaprojektowany przez Zarząd regulamin wewnętrzny, normujący stosunek Komitetu do swych członków i odwrotnie, obowiązki delegatki, oraz formy organizacyjne ekspozytur prowincjonalnych.

W planie dalszej pracy na rok 1928 uchwalono: stałe wydawnictwo biuletynu o pracy p.w.k., oraz drugiego zeszytu wydawnictwa „Dla przyszłości”. W dziale organizacyjnym postanowiono nawiązać ściślejszy kontakt z Wojewódzkimi Komitetami w.f. i jaknajszysze utworzenie stałych ekspozytur w każdym województwie; w dziedzinie wyszkolenia—wydanie podręcznika p.w.k., należyte obelanie obozów letnich w Wągrowcu i Kościerzynie, zorganizowanie kursu instruktorek obrony przeciwgazowej; w dziedzinie inwestycji—jaknajszysze wykończenie stadjonu, rozszerze-

nie warszawskiej poradni lekarskiej i uruchomienie takichże poradni we wszystkich ośrodkach prowincjonalnych, budowy stałego obozu w Kościerzynie, oraz poczynienie starań, celem rozpoczęcia budowy własnego gmachu organizacyjnego.

Na zasadzie nowouchwalonego statutu, do Komitetu Sp.P.K. weszły z wyboru personalnego pp.: Łubieńska, Zaborowska, Wittkówna, Uklejska i Krokowska, oraz delegowane przez stowarzyszenia panie: Wołowska—Z.H.P., Bratkowska—Koło Polek, Jaroszewiczowa—Rodzina Wojskowa, Śliwińska—P.B.K., Ceysingerówna—Ogr.P.K., dr. Jurjewiczówna—Klub Wioślarek, Bojanowska—Służba Obywatelska, Cybulska—Kob. Klub Strzel.

Zjazd uchwalił jednogłośnie złożyć Dyrektorowi P. Urzędu W.F. i P.W. ppłk. Ulrychowi serdeczne podziękowanie za pomoc i współpracę we wszystkich poczynaniach Komitetu.

Na tem Zjazd zakończono.

ŚMIERĆ CÓRKI DARWINA

Pomocnica i powiernica wszystkich poczyńań ojca, Henrietta Darwin zmarła w wieku lat 81.

Pomimo, iż była zamężną, jako jedyna przedstawicielka rodziny Darwinów — do końca życia nosiła nazwisko ojca. Genjalny uczony miał w swej jedynaczce godną siebie pomocnicę. Wiadomem było, że posiadał on wyjątkowo ciężki i niezrozumiały styl. Tymczasem Henrietta, wyjątkowo uzdolniona i wysoce wykształcona, była prawdziwą mistrzynią pióra; ona też wszystko, do czego dochodził Darwin rozumowo i przy pomocy eksperymentów, opracowywała stylistycznie i w pięknej formie podawała do druku.

Ojciec i córka stanowili przez długie lata nierozłączną parę współpracowników i przyjaciół.

H. S.

25 LECIE PRACY LITERACKIEJ

Dwadzieścia pięć lat temu na łamach „Bluszczu” ukazała się pierwsza powieść p. Zofji Sarjusz-Cieszkowskiej pod podwójnym tytułem: „Między światem a dniem” i „Więzy ducha”. Po tym debiucie poszły dalsze prace, a mianowicie: „Podwójna moralność”, „Krzyk życia”, „Krzywdy dozwolone”, obraz dramatyczny „Głos krwi”. We wszystkich tych utworach autorka gorąco broni praw kobiety i ujmuje się za krzywdą, wyrządzaną jej przez „podwójną moralność”, odmienną dla obydwu płci.

Powieści p. Zofji Sarjusz Cieszkowskiej cieszyły się w swoim czasie wielką poczytnością. Niektóre z nich doczekały się kilku wydań. Świeżo ukazały się w nowem wydaniu „Więzy ducha”.



Zofja Sarjusz-Cieszkowska

O POLSKOŚĆ NASZYCH WNETRZ

Polskie budownictwo.

II.

Cieśla wiejski, ten twórca drewnianej architektury polskiej, był genialnym i samorodnym twórcą, formę bowiem dyktował mu materiał. Drzewo i słoma — oto budulce, którymi posługiwał się dla wypowiedzenia swej myśli twórczej, zrodzonej z najistotniejszej potrzeby ludzkiej.

Klimat, otoczenie, a więc niziny, czy góry, czy falista pagórkowatość, oraz na danym miejscu zbudownictwo tamtejsze — dopełniało całości, składającej się na bezsprzeczne arcydzieło.

Cechą charakterystyczną tych budowli było poziome układanie na sobie pni i wiązanie ich w zrąb przez zacięcia na węglach. Wytwarza to pewną surowość, przeciwną budownictwu zachodniemu, które, dzięki systemowi ramowemu, zdobiło swe budowle kolumnami, gzymsowaniami, ornamentacjami.

My za to, dzięki surowości stylu zrębowego, otrzymujemy tego rodzaju ozdoby, jak wsparte na słupach rzeźbanych podsienia, „soboty“ w kościołkach wiejskich i kopuły starych cerkiewek na Rusi.

Niezaprzeczalnym dowodem, jak potężnie musiało być rozwinięte budownictwo w Polsce, są zapiski naszych kronikarzy, iż „w 1125 roku pożar zniszczył w Krakowie wiele drewnianych, ale ozdobnych budynków“.

Doby Piastów zamki nawet obronne budowano z drzewa; dopiero Kazimierz Wielki murami obdarza Polskę, przebudowuje Zamek Wawelski; wślad za nim idą magnaci, duchowieństwo i, częściowo, mieszczenie.

Wieś jednak, z nielicznymi wyjątkami, pozostaje wierna drzewu, nie lubiąc niezdrowej ponoć cegły, i cieśla wiejski w dalszym ciągu buduje dworce, cerkiewki, synagogi, kościoły.

Charakterystycznym przykładem, jak szlachta polska, ze swymi rdzennie słowiańskimi pojęciami i tradycjami, nienawidzi muru, budując się dalej z drzewa i słomy — jest anegdota o owym szlachcicu, co to, jadąc w sprawach spadkowych do Włoch, gdy dowiedział się, że niema tam domów drewnianych — bierze ze sobą cieśle, aby mu na obczyźnie domek na mieszkание sklecił.

Dowodem niezbitym i nieulegającym najmniejszej wątpliwości, iż do XVII wieku kwitło u nas budownictwo drewniane, jest wydana w 1659 roku w Krakowie broszurka: „Krótka nauka budownicza Dworów, Pałaców, Zamków, podług nieba i z wycazu Polskiego“.

Tak więc, choć budownictwo drewniane w dawnej Polsce nie rozwinęło się do rozmiarów samoistnego stylu architektonicznego, posiadało jednak tyle cech

swojskiej odrębności, że słusznie uważane jest za typ budownictwa narodowego.

Gdy jednak miasta coraz częściej ulegały pożarom, gdy budynki dworskie, kryte gontem lub słomą, padały ofiarą pogorzezi — szczególnie od czasu wprowadzenia tytoniu i zapalek — gdy wreszcie kamień i cegła jako praktyczniejszy budulec, wypierać zaczęły drzewo — typowe budownictwo polskie wciągu XVII i XIX wieku prawie zupełnie uległo zagładzie, zachowując się jedynie w szczątkach.

Pamiętki te, cudnej urody, dziś jeszcze oglądać możemy w Grybowie, Bieleniu, Mogile, Sekowej, Ciężkowicach; niejedno miasteczko na Kresach, a także we wschodniej Galicji zamyka w sobie szczątki, ślady i tradycje budownictwa drewnianego.

Wywarło ono zresztą pewien wpływ i na budownictwo murowane, słaby jednak, a to z powodu charakteru materiału i przemożnej, pchającej się wraz z nowym materiałem, nowej formy architektonicznej.

Chałupy chłopskie prawie niewolniczo naśladowały dwory, mniej tylko ozdobnie i okazale budowane.

Wewnątrz jednak te same stropy drewniane, odrzwia rzeźane i nabijane drewnianymi gwoździemi, a wiązane ze sobą przedziwnie pięknymi zaciosami.

Tradycje wnętrz drewnianych przechowały się po dziś dzień, spotykamy więc po wsiach i miasteczkach na Pomorzu, Mazowszu, Kujawach, na Podhalu w szczególności — najtypowsze okazy rdzennie polskiego budownictwa.

Dzięki kronikarzom naszym (począwszy od Długosza), badaczom, historykom, malarzom wreszcie, mamy opisy, rysunki, zapiski, które pozwalają nam nieistniejące już arcydzieła swojskiej architektury drewnianej odtworzyć i zobrazować.



Kościół parafjalny w Psarach — pow. Turecki

I stają nam przed oczami w piękności swej okazałej, utwierdzając nas w przekonaniu, że naród nasz, wykazujący się tak wspaniałą, rdzennie z rasy swej czerpiącą soki, twórczością, umiejący tak po swojemu wypowiedzieć się w drzewie — znajdzie formę dla cegły, kamienia i betonu, w której zaznaczy odrębność swoją i wypisze w kulturze nowoczesnej lmię swoje — młodzieńcem, mocnym, daleko mierzącym w przyszłość ramieniem.

Marja Morozowicz-Szczepkowska

SCHEMATY KOMPOZYCYJNE

Rozpatrując cały szereg istniejących kompozycji, nasuwa się podział ich na dwie zasadnicze grupy. Do jednej z nich zaliczymy kompozycje, posiadające tło (kształty, luźno rozmieszczone na płaszczyźnie). Do drugiej zaś grupy możemy zaliczyć kompozycje bez tła (płaszczyzna podzielona na kształty — kształty przylegają ściśle do siebie.)

Tło stanowi płaszczyznę, uwydatniającą przejrzystość kształtów, barw, oraz ich układ; przyczynia się do zespolenia, zharmonizowania ogólnego kolorytu kompozycji. Dlatego też trzeba zwracać wielką uwagę na dobór tła: nieodpowiednia barwa obniży zawsze poziom roboty. Główny nacisk należy położyć na zestawienia barwne — kolor, zestawiony z innymi, nabiera specjalnego znaczenia. Weźmy, na przykład, kolor żółty i zestawiajmy go kolejno z innymi kolorami: przekonamy się, że za każdym zestawieniem będzie dawał odmienne wrażenie; przy jednych — jaskrawy, przy drugich będzie nikłym kolorem. Ponieważ założeniem kompozycji jest wydobyć bezpośredniego wrażenia całości, należy dobierać farby w ten sposób, by wszystkie kształty były widoczne, a nie nikły przy innych.

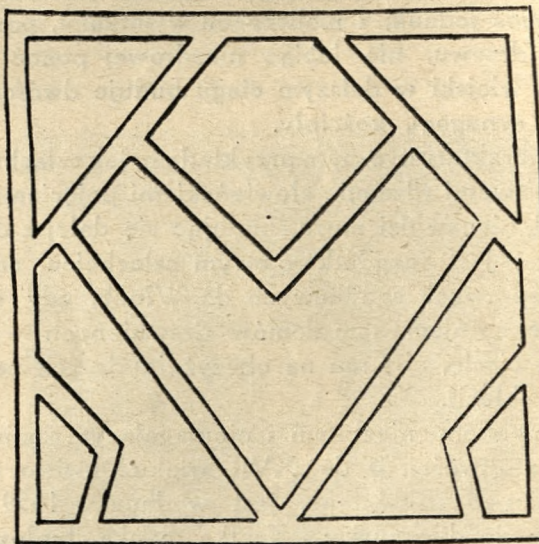
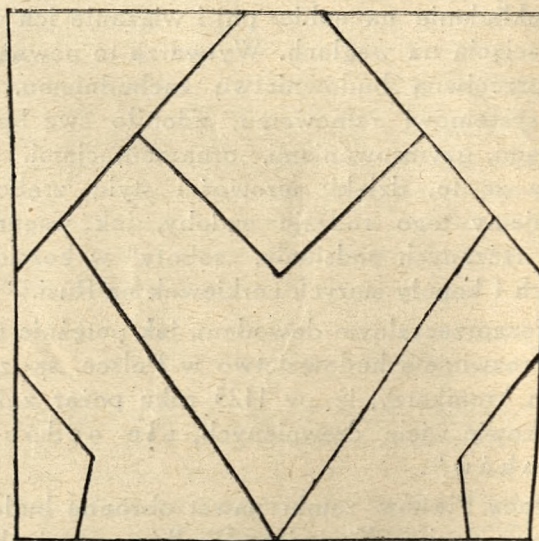
Mając więc wzór w podanym kolorycie, należy z całą świadomością dostroić harmonijnie tło. Kolory zasadnicze, jakimi są: czerwony, niebieski i żółty, oraz ich pochodne: fioletowy, pomarańczowy, zielony — mają całą skalę tonów, w zależności od przewagi w mieszaninie jednego z sąsiednich kolorów.

Podzielmy je na: kolory jaskrawe i kolory przytłumione (pastelowe). Przyjmując ten podział, należy zawsze uświadomić sobie ogólny koloryt kompozycji: o ile barwy kształtów kompozycji będą jaskrawe — można zastosować tło pastelowe; o ile zaś ogólny koloryt jest pastelowy — nie radziłabym dawać tła jaskrawego, gdyż tło wtedy będzie bardziej widoczne od wzoru, a całość kompozycji zatracimy. Można też przyjąć założenie, aby barwa tła w natężeniu była ciemniejsza, lub jaśniejsza od wszystkich barw składowych kompozycji. Kolor biały, szary oraz czarny (barwa czarna, jako pojęcie wyrazu — brak wszyst-

kich kolorów), użyty, jako tło, daje wyniki prawie zawsze zadawalające, zespalać ogólny koloryt i uwydatniać wyrazistość kompozycji.

Wszystkie wyżej podane wyjaśnienia należy traktować, jako praktyczne rady mego własnego doświadczenia, a nie jako nienaruszalne kanony, czy prawa. Indywidualne poczucie harmonii barw będzie najważniejszym wskaźnikiem przy dobieraniu tła do danej roboty. Prawem natomiast będzie dążenie do wydobywania całości kompozycji.

Podając poniżej dwa przykłady rysunkowe, rozmyślnie pomijam opracowanie kształtów — przytaczam sam schemat kompozycyjny, określając jedynie kierunek położenia kształtów, oraz stosunek ich wielkości. Chodzi mi o wyrazistość różnic pomiędzy kompozycją z tłem, a kompozycją bez tła.



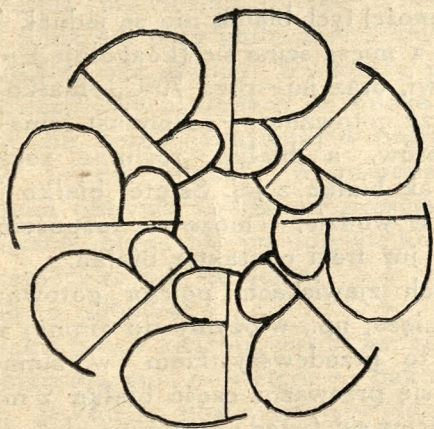
Kompozycję bez tła spotykamy przeważnie tam, gdzie z samej techniki wypływa zespolenie części cząstek w całość, np. w mozaice, witrażu i t. d., pozatem

w kilimach często używana jest forma tego rodzaju kompozycji. Kompozycja z tłem jest przeważająca i omal powszechnie stosowana; nie zatrzymując się więc nad nią dłużej, przejdźmy wprost do rozpatrywania schematów kompozycyjnych. Jako symbol motywu kompozycji przyjmijmy np. literę B.



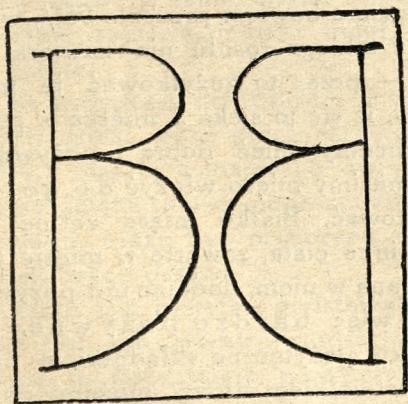
rys. 1

Odróżniamy w kompozycjach układ następujący: Motyw powtarzający się tworzy szereg (rys. 1). Tego rodzaju układ stanowi szlak—jest przeważnie stosowany, jako obramowanie płaszczyzny (rys. 2).



rys. 2

Układ powyższy spotykamy w wycinankach ludowych. Kierunek położenia kształtów jest na liniach, wybiegających ze środkowego punktu danej płaszczyzny (rys. 3). Układ taki, spotykany bardzo często, polega na symetrycznym odwróceniu motywu.



rys. 3

Poza przytoczonymi układami istnieje cały szereg kompozycji, niedających się zaliczyć do żadnej specjalnej grupy. Indywidualne uzdolnienie będzie decydującym czynnikiem przy tworzeniu kompozycji, odmiennych od istniejących typów. Wanda Młodożeńcowa.

OGRÓDKI DZIECINNE

Dziecko miasta porównać można poniekąd do więźnia, któremu danem jest patrzeć na cuda natury i przyrody poprzez kratę, za jaką biegnie tęskny wzrok z wiecznym głodem i nigdy niezaspokojonym pożądaniem. W mieście jest, bowiem, nieprzebyty chiński mur, co dzieli drobne rączyny od matki-ziemi. Cud, jaki staje się w jej łonie, cud poczynania, wzrostu, rozkwitu, owocowania i obumierania, jakie nosi w sobie zarodek nowego życia—dzieje się wprawdzie na oczach dziecka, jednak bez żadnego z jego strony współudziału, a przez to samo bez głębokiego zrozumienia, należytego zachwyty i podziwu.

Dziecko takie, jeżeli wpojono mu od chwili, kiedy zaczęto je kształtować, pojęcie o złem i dobrem, o dozwolonym i niedozwolonym—uczy się szanować trawniki, krzewy i kwiaty, spaceruje wzdłuż doskonale utrzymanych alei, przecinających plantacje miejskie, patrzy rok rocznie na pękające pąki, na rozchylające się ku słońcu kwiaty—nie wyczuwa jednak pomiędzy nimi i sobą, pomiędzy ich życiem, a własnym małym serduszkim, żadnego trwałego i opromienionego rozczuleniem łącznika. Są oto tak samo, jak latarnie miejskie, jak sklepy i domy, zawsze na tem samym miejscu, wchodzą w skład tego wszystkiego, co otacza dziecko dzień po dniu, godzina po godzinie. Zauważyłoby może brak ściętego drzewa, nieobsadzonego klombu, wykopanego krzaka... rosnącego z roku na rok, w pąkach, liściach, czy kwiecie, w wiosennej, letniej, lub jesiennej krasie—raczej nie zauważy.

Na to, żeby dziecku dać siłę i czar pojmowania wszystkich cudów przyrody, żeby związać je stałą nicią z pełnem rozkosznych tajemnic i ślicznych niespodzianek życiem roślin, trzeba mu dać własną grzędę do własnoręcznej uprawy. Trzeba uzależnić od pracy jego małych rączek wegetację i rozkwit roślin, owocowanie krzewów i drzew, bujność rozrastających się warzyw, płodność tego uprawionego osobistym wysiłkiem zagona, czy klombu. Trzeba dać mu odczuć niezastąpioną, a szlachetną dumę, jaka rodzi się na podłożu odpowiedzialności za stwarzane poniekąd istnienie, radość owocnego trudu. Zrozumienie i miłość przyjdą same z siebie.

Rolą matki, czy też wychowawczyni, jest pokierowanie pierwszymi krokami dziecka i to pokierowanie umiejętne, aby praca jego nie szła na marne i aby brak dorobku nie zniechęcił do dalszego trudu. Na to potrzebne jest w pierwszym rzędzie przyuczenie dziecka do wykonywania wszelkich prac, związanych z ogrodnictwem, w należytych czasie, w sposób umiety i staranny. W pierwszym rzędzie musimy zwrócić baczną uwagę na ziemię, jej uprawę i użyźnienie. Najpiękniejsze ziarno nie jest w stanie wydać poprawnego plonu, jeżeli rzucimy je w łono

zeskorupiałej, jałowej i źle użyźnionej ziemi. Jeżeli ogródek naszego dziecka ma dać mu całą gamę radości i dumy, do jakiej jest powołany, jeżeli przytem rozumiemy całą jego wartość i wagę pedagogiczną, — powinien być nienagannym warsztatem pracy. A więc tam, gdzie grządki i klombiki mają za podłoże nieodpowiednią glebę, pierwszym warunkiem będzie dostarczenie żyznej i pulchnej ziemi ogrodowej; na odpowiednim terenie wystarczy głębokie przekopanie, jesienne nawiezenie i zasilenie wiosną nawozem sztucznym. Dzisiaj stosujemy najchętniej sól chorzowską, która posiada wszelkie składniki, potrzebne do rozwoju warzyw i kwiatów. Nabywając wspomnianą sól chorzowską, należy nadmienić, do jakiego przeznaczoną jest ogródka: — do warzywnego, czy kwiatowego, są bowiem w handlu dwa gatunki tej soli w jednakowym opakowaniu.

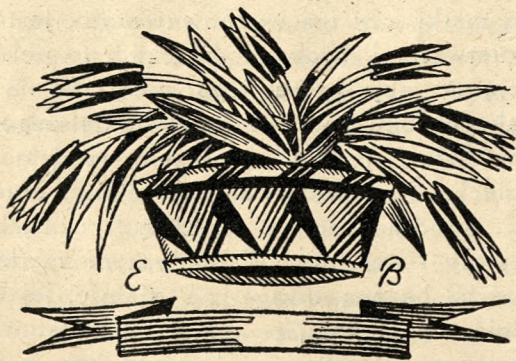
Na skopanej i nawiezionej jesienią dobrze przegniłym nawozem zwierzęcym grzędzie — małeńki ogrodnik stanie do pracy wiosną, gdy operacja słoneczna osuszy ziemię i wygrzeje ją należycie. Ziemię, pozostawioną „w ostrej skibie“, to znaczy skopaną, ale nie grabioną jesienią, skopie powtórnie, odrzucając wszelkie kamienie i gruz, a po takim starannem i należytem spulchnieniu zagrabi gładko i posieje równą, niezbyt obfitą warstwę soli chorzowskiej. Siew nawozu sztucznego na małej przestrzeni, jaką jest zwykle ogródek dziecięcy, najlepiej wykonać przez gęsty durszlak, co zapewni równomierne użyźnienie. Gdy nawóz po kilku dniach rozłoży się i przeniknie glebę, nadchodzi czas zasiewu.

Równo obcięte zagonki, ścieżynki pomiędzy nimi, wybrane starannie, ładny kształt klombików, estetyczny wygląd całości i stała, zapobiegliwa praca nad utrzymaniem ogródka w nienagannym porządku — należą do całokształtu gospodarki.

Rabatki i klomby powinny mieć umocnione brzegi, co osiągnąć najłatwiej przez danie obwódki z trawy; można też ująć linję klombu lub rabaty w listwę żelazną, jest to już jednak sposób trudniejszy, kosztowny i niedostępny do wykonania dla dziecka, a dążnością naszą powinno być pokierowanie pracą naszych małeńkich ogrodników w ten sposób, aby obejść się mogli bez pomocy rąk cudzych, wspierając się jedynie na naszych radach i doświadczeniu.

(d. c. n.)

W. D.



CHEMJA W KUCHNI

Bardzo dobre są naczynia miedziane cynowane (t. zw. pobielerane), trzeba tylko uważać, by powłoka cyny była dostatecznie gruba

Zresztą najbardziej używane powinny być naczynia niklowe i glinowe (aluminium), które nie potrzebują polewy.

To byłaby niejako chemja nieorganiczna gospodarstwa domowego, — a obecnie przystąpimy do części organicznej — o wiele bardziej interesującej.

Wszystkie ciała, wchodzące w skład naszego pożywienia, — dzielą się na trzy duże grupy: I — ciała białkowe, II — węglowodany i III — tłuszcze.

Ciała białkowe, zawarte są przede wszystkim w mięsie, jajach, mleku (kazeina — sernik) i niektórych roślinach (t. zw. legumin — strączkowych, p. wyż.) Własności tych białek nie są jednak jednakowe. Np. białko z mięsa ścina się (koaguluje,) przy 56°C. — białko z krwi, oraz jaj — przy 70°C, — białko z sera nie ścina się przy gotowaniu — natomiast ścina się w obecności kwasów, a białko roślinne zachowuje się podobnie, jak białko z jaj. Ścięte białko jest nierozpuszczalne w wodzie, — może się rozpuścić w kwasie solnym, ale już traci charakter białka.

Na tych zjawiskach polega gotowanie mięsa.

Gdy mięso, np., włożymy do zimnej wody i gotujemy — to przede wszystkim w zimnej wodzie rozpuszcza się przeważna część białka z mięsa i przy gotowaniu ścina się (wtedy „szumuje się“, co jest nieodpowiedniem, gdyż zabiera się to białko. Powinno się raczej dodać parę kropel kwasu solnego, by białko rozpuścić — oraz przypraw, by smak kwasu zabić); oprócz tego — o ile chodzi o rosół, to dobrze dodać do mięsa kości i chrząstek, by wygotował się z nich klej i tłuszcz, pozostający już w rosolu i dodający mu pożywności. Wogóle rosół jest ciałem średnio pożywne — zawiera bowiem przeszło 95% wody.

Mięso z takiego rosółu nie zawiera przeważnie już białka, — przez to zużytkować je można tylko w ten sposób, iż się je sieka i miesza z przyprawami.

Gdy chcemy mieć dobrą i pożywną sztukę mięsa, to musimy mięso włożyć do gorącej wody i w niej gotować. Białko mięsa zetnie się od razu, a również i inne ciała, zawarte w mięsie (jak tłuszcz, klej etc), zostaną w niem, dodając mu pożywności. Mięso takie jest więc bardzo pożywne, zawiera bowiem wszystkie pożyteczne składniki, — natomiast rosół z niego jest całkiem jałowy, możemy go jednak nieco przyprawami (np. ekstraktem mięsnym) poprawić...

Dobrze jest do takiej wody dodać przed gotowaniem kości i chrząstek oraz tłuszczu, (o ile samo mięso go nie zawiera) — by rosół zawierał przynajmniej t. zw. glutynę, zawartą w kościach i chrząstkach. Glutyna jest również ciałem białkowym, ale białka mięsnego nie może zastąpić.

Przy pieczeniu mięsa odbywa się znów inny proces.

Pod wpływem gorącego tłuszczu (wytopionego z mięsa—lub dodanego) ścina się białko na powierzchni mięsa — i otacza mięso rodzajem powłoki, przez którą ciepło trudno przechodzi, — wobec czego białko wewnątrz mięsa trudno się ścina; przez podlewanie białka ściętego na powierzchni sokiem z mięsa i dalsze pieczenie—brunatnieją ścięte ciała białkowe, dodając pieczeniu aromatu. Gdybyśmy mięso, przed wydzieleniem soku, poddali wodą, wtedy ciepłota byłaby tylko 100°C (woda wrze przy tej temperaturze), brunatnienie zaś wymaga nieco wyższej ciepłoty.

Z własności białka mięsnego ścinania się przy 56° C. i białka z krwi ścinania się przy 70° C.—kozystamy przy przyrządzaniu rozbefu „po angielsku”.

Jak to już mówiliśmy, białko z mleka (wzgl. sernik) nie ścina się przy gotowaniu i dlatego mleko możemy gotować bez szkody. Wystarczy jednak najdrobniejsza ilość kwasu, dodana do mleka, a natychmiast ścina się sernik (kazeina) w postaci płatów, dając znane „zsiadłe mleko”. W gospodarstwie proces kwaśnienia odbywa się daleko prościej. W gorących miesiącach mleko już po upływie krótkiego czasu „kwaśnieje” i sernik się ścina.

Jak się to odbywa?

W mleku, prócz kazeiny, jest t. zw. cukier mleczny, a w otaczającym powietrzu — bakterje kwasu mlecznego. Bakterje, dostawszy się do mleka, powodują t. zw. fermentację cukru mlecznego, z wytworzeniem kwasu mlecznego. Kwas mleczny zaś — jak każdy kwas — ścina kazeinę.

Mleko jest niezbędnym pożywieniem niemowląt, należy przeto zapoznać się z t. zw. sterylizacją mleka, czyli jego utrwaleniem.

Sterylizacja mleka polega na przegotowaniu mleka świeżego w szczelnie zamkniętych butelkach. W ten sposób wszystkie bakterje, jakieby mogły być w mleku, zostają zabite.

Mleko to jednakże jest czasem nieodpowiednie dla niektórych dzieci, gdyż prócz sernika zawiera też nieco (ok. 5%) białka, ścinającego się przy gotowaniu. Tedy owo ścięte (a więc nierozpuszczalne i trudnostrawne) białko może być przyczyną niedyspozycji żołądka u niektórych dzieci.

Fermentacja jest nie tylko podstawą wyrobu zsiadłego mleka: jest ona również podstawą przemysłu gospodarskiego, a mianowicie piekarstwa. Wchodzi tutaj już w grę inna grupa ciał odżywczych, a mianowicie węglowodany.

Węglowodany są to ciała, zawierające w swym składzie chemicznym tylko węgiel, wodór i tlen (nie jak białka prócz tych pierwiastków jeszcze azot, siarkę i, czasem, fosfor) i to w stosunku 1:2:1. A zatem wodór i tlen są w stosunku 2:1, czyli w takim samym stosunku, jak w wodzie — H₂O. Są więc tak jakby związkami węgla z wodą, i stąd ich nazwa.

Węglowodany są głównymi składnikami roślin. Węglowodanem jest mąka, zawarta w zbożu; piekarstwo tedy zajmuje się przeróbką tej mąki na pożywienie — chleb.

Sposób otrzymywania chleba znamy wszyscy; zastanówić się tylko należy nad procesami chemicznymi, jakie w każdej fazie wyrobu zachodzą.

Przy „rozczynianiu” mąki wodą i „wyrabianiu” ciasta rozpuszcza się cukier (zawarty w mące w małej ilości) i staje się odpowiedniejszy do fermentacji z drożdżami, których następnie dodajemy.

Drożdże—jest to zbiorowisko bakterji, wywołujących w cieście „fermentację spirytusową”, przyczem wytwarzają się małe ilości spirytusu, oraz kwas węglowy, który rozszerza się pod wpływem ciepła, a będąc gazem, stara się ująć z ciasta, rozpulchniając je. Ponieważ proces „rośnięcia ciasta” odbywa się w dość wysokiej temperaturze, przeto gaz ten, a zarazem i para spirytusu rozszerza się, rozpulchniając ciasto i powodując zwiększanie jego objętości.

W mące (skrobi) zawarte jest w niedużej ilości ciało białkowe, zwane myozyną roślinną. Ciało to przy zarabianiu wodą daje t. zw. gluten, który już w temperaturze 70° C. ścina się i nadaje pieczywu trwały kształt.

W piecu zachodzą procesy następujące: pod wpływem ciepła skrobia na powierzchni zamienia się w brunatną dekstrynę (dlatego skórka pieczywa jest brunatna). Diastaza, zawarta w mące w bardzo małej ilości, działając na skrobię, zmienia ją w cukier, a ten pod wpływem ciepła karmelizuje się na powierzchni skórki.

Temperatura, panująca w piecu piekarskim, wynosi 225—300° C.; dla pieczywa białego—niższa, dla czarnego — wyższa. Chleb nie powinien przyjmować od razu najwyższej temperatury, gdyż prędko otacza się nieprzepuszczalną skorą, a wewnątrz jest niedopieczony.

Węglowodany, a zarazem i tłuszcze stanowią dla naszego organizmu rodzaj „paliwa” i one to powodują stałe utrzymywanie się ciepłoty organizmu.

Inżynier Tadeusz Ingwer.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Maść na łupież. „Mój krem” tłusty i suchy. „Mój krem” przeciw zmarszczkom. „Mój puder”. Krem cytrynowy. Krem poziomkowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perekli do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe i lilijowe. Róża higieniczne. Maski na twarz. Maść na pęgi.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

SKROMNA KOLACJA

(W odpowiedzi „Sarence“)

Zapytanie Pani: jak urządzić przyjęcie—skromną kolacją dla 15 osób, około godziny 1-ej w nocy, niedługo przed rozejściem się gości — jest i nie dość dokładne, gdyż nie mówi Pani, czy chodzi tu o kolację zimną, czy gorącą, i nazbyt dokładne, gdyż godzina podania dużej roli przy układaniu jadłospisu kolacji nie gra; co najwyżej może służyć za wskazówkę, że goście są już głodni a ciężkich potraw im podawać nie należy, gdyż wkrótce udadzą się do snu. Muszę więc zacząć od kolacji zimnej, zastrzegając się, że pojęcie o tem, co nazwiemy „skromne“ jest u nas niesłychanie rozciągnięte. Nie znam kraju, gdzieby jadłospisy były mniej standaryzowane. W tej samej sferze, w tem samem kółku znajomych, na przyjęciu tejże samej kategorii—możemy spotkać śledzika i zimną cielęcinę, lub łososie, kawior, majonezy, chaud'froid z sarniny i t. p. Drugą kwestją niewyjaśnioną jest: czy mają być podawane jakieś napoje alkoholowe i jakie: wódki, piwo, czy wino? Będę więc nieco błąkała się w ciemnościach. Jeżeli mają być wódki, należy podać ich parę gatunków, aby zadowolnić różne gusta. Jedną czystą, drugą z jakąś zaprawą: żubrówkę, angielską gorzką, pomarańczową niesłodzoną, starą i t. p., trzecią—słodzoną: wiśniówkę, śliwowicę, kminkówkę i t. d.; wprowadzić dziwnem jest picie słodkiej wódki przed słoną, lub ostrą przekąską, lecz różne są guściki i przyzwyczajenia. Na przekąskę—śledzie — o ile są w bardzo dobrym gatunku — bez żadnej przyprawy, w sosie majonezowym: — mniej wykwintne w smaku lepiej przedtem zamarynować,—najlepsze są marynowane do jedności w czystej oliwie. Jakaś sałatka jarzynowa, śledziowa, mięsna, czy rybna, w zależności od zapasów, jakimi rozporządzamy, lub też jakaś ryba marynowana, czy wędzona, półmisek szynki, polędwicy, lub dobrej kielbasy; do tego chleb żytni i pszeniczny, cienko krajany.

Na przekąskę po wódce to zupełnie wystarczy. O ile o rybę łatwo, zawsze dobrze jest zacząć kolację od ryby na zimno. Może ona być w galarecie, lub majonezie, albo też faszerowana. Sos do niej można zrobić wedle uznania: majonezowy, musztardowy, lub tatarski. Na prowincji, gdzie towary kolonialne są rzadko sprowadzane, ostrzegam przed użyciem na sos nieświeżej oliwy,—w braku zupełnie pewnej lepiej jest podać chrzan z octem. Gdzie o ryby trudno, wybornie je zastąpić może główka cielęca w galarecie, ozór peklowany, pokrajany w cienkie plastry i przybrany groszkiem, lub sałatką jarzynową, zimny pasztet z wątróbki. Do takich zimnych mięs takie same sosy, jak do ryby. Dalej mięso, więc: pieczeń cielęcą, schab wieprzowy, rozbef, lub sztuftada na zimno, ubrane galaretką, zrobioną z sosu, powstałego przy ich pieczeniu. Sos z cielęciny pieczonej sam się łatwo galare-

tuje. Sos z innych mięs należy zaprawić żelatyną. Do tych mięs, zależnie od sezonu: sałata z czerwonej kapusty, ćwikła z chrzanem, kiszzone ogórki, pikle domowe, gruszki, śliwki, lub wiśnie w occie, sałata z borówek, sałata zielona ze śmietaną, lub z oliwą i octem, miżerka ze świeżych ogórków i t. p.

O drobiu i zwierzynie, któremi można zastąpić cięższe mięsa, nie wspominać tutaj, gdyż wyraźnie zaznaczonem było, że kolacja ma być skromna. Krem, galaretka, kompot, lub doskonała jego odmiana: kompot w galarecie, tort domowy, czy cukierniczy—mogą być podane na deser. O ile ma być przy kolacji podane piwo, nalewa się je przy mięsie. Wina owocowe, krajowe, niewiele droższe od piwa, znajdują dzisiaj zastosowanie w najskromniejszych gospodarstwach. Przypuszczam, że przy skromnej kolacji nie będzie likierów, nie dałabym więc i kawy czarnej, lecz tylko herbatę z cytryną, a do niej jakieś lekkie ciastka domowe, czy cukiernicze. Jeśli na leguminę był tort, to takie ciastka są zbyteczne. Leguminę każdą można zastąpić przy skromnem przyjęciu ładnymi sezonowymi owocami. Podając piwo, lub przy deserze można podać ser — dwa gatunki do wyboru: jeden ostry, drugi łagodny. Sera nigdy nie podaje się do przekąski, chyba na gotowych, mieszanych tartinkach.

Jeśli kolacja ma być gorąca, to ponieważ przygotowania do niej w ostatniej chwili zajmują więcej czasu gospodyni i służącej, wskazanem jest podać do przekąski gotowe kanapki, tartinki, czy sandwicze z różnymi ostreimi rybkami, wędlinami, serami i t. p. Wymagają one nieco pracy, lecz można je przyrządzić od rana, przykryć wilgotną serwetą, a będą wieczorem, jak dopiero co zrobione. Oprócz tego, nawet w gorącej kolacji, pierwsze danie, czy to ryba, czy mięso—może być podane na zimno. Można w tym celu użyć jedno z dań z kolacji zimnej. Jeśli chcemy i pierwsze danie podać gorące, możemy wybrać sandacza z masłem i jajami, szczupaka faszerowanego z chrzanowym sosem, lub gotowanego z sosem kaparowym, lub pomidorowym; główkę cielęcą z rumianym sosem, pasztet gorący w kruchem, lub francuskim cieście, potrawę z cielęciny z ryżem, risotto z pomidorowym sosem, parówki w takimże sosie.

Na drugie — jedno z wyżej wymienionych mięs, podane na gorąco, przyczem w takim razie zamiast rozbefu zwykle lepiej podać polędwicę, którą łatwiej ładnie pokrajać. Dobrem też daniem do skromnej kolacji są bite kotlety cielęce lub wieprzowe, te ostatnie konieczne z bardzo młodej sztuki. Mięsa powinny być podane z garniturem z odpowiednich jarzyn, niezależnie od sałat, takich samych, jak do mięs zimnych. Jako leguminę gorącą, oprócz wszelkiego rodzaju sufletów, budyniów, wafli i t. p., bardzo dobrze jest podać babkę na gorąco „Savarin“ z owocowym, lub ponczowym sosem. Zresztą i w gorącej kolacji mogą figurować wszelkie zimne leguminy, galarety, kremy, torty, a nawet sezonowe owoce.

Wszelkie powyższe uwagi co do wódek, piwa, win i t. p. stosują się i tutaj. Po cięższej kolacji, jaką zawsze jest gorąca, bardzo smakuje mała filiżaneczka czarnej kawy. Do niej, zamiast kosztownego likieru, można podać dużo zdrowszą nalewkę domową.

Pani Elżbieta.



KAPARY DOMOWE

Panie, mieszkające na wsi, mogą się zaopatrzyć w wyborne kapary domowe, używając na nie pączków pierwszych kwiatów wiosennych, rosnących przy rowach, zwanych na kresach „tupany“, a w Kongresówce „kaczeniec“, lub „żabie oczy“.

Zupełnie zielone, drobne pączki tej rośliny należy przesypać mialką solą, przycisnąć denkiem i kamieniem i trzymać tak dni dziesięć, uważając, aby się pleśń pod denko nie wkradła. Po upływie tego czasu płyn słony, który się uformował, zlać, pączki obsuszyć starannie na płótnie, przełożyć do małych słoików i zalać lekkim octem, przegotowanym i przestudzonym. Po tygodniu ocet zlać, przegotować ponownie i znów zimnym zalać kapary, powtarzając to po następnym tygodniu raz jeszcze. Na wierzch słoiczków nałożyć cienką warstwę świeżej oliwy, zawiązać mocno pergaminem i trzymać w chłodnej, suchej szpiarni. Trwają rok cały i ani smakiem, ani wyglądem od prawdziwych kaparów się nie różnią.

SZCZUPAK FASZEROWANY (z drobnych rybek)

w odpowiedzi p. Godlewskiej.

Dwa kilo drobnych ryb wszelkiego rodzaju, po starannem oczyszczeniu z łuski i wnętrzości, zdjąć z ości, głowy i ogony odrzucić i mięso z ości jaknajstaranniej oskrobać—powinno go być najmniej kilo.—Trzy bułeczki, warszawianki, lub inne (razem 150 grm.) rozmoczyć dobrze, mięso i bułki przepuścić przez maszynkę. Dwie duże cebule (około 100 grm.) utrzeć na tarce, zmieszać z masą, wbić dwa jaja, posolić do smaku, popieprzyć, dodać trochę gałki muszkatołowej, wyrobić doskonale, dodając filiżankę zimnej wody, aby farsz był soczysty. Ze starego płótna uszyć torebkę w kształcie cylindra, szerokości dowolnej, mn. więc takiej, jaką ma zwykle średniej miary szczupak. Nałożyć do niej rybnego farszu, zawiązać oba końce dosyć wolno, gdyż masa w czasie gotowania pęcznieje. Ugotować w długim rondlu do ryb smak z włoszczyzny, rybich ości i głów, cebuli i korzeni; smak ten precedzić, wlać napowrót do rondla, zagotować raz jeszcze. Wałek z ryby umieścić na sitku wewnętrznym, włożyć do wrzącego smaku, gotować około czterdziestu minut. Wyjąć wraz z sitkiem, dać na niem nieco wystygnać, rozpruć płótno i usunąć je ostrożnie. Dalej postępować, jak ze zwykłym szczupakiem fasze-

rowanym, podając go na zimno, lub na gorąco. Smak użyć na sos; — jeśli chcemy go użyć na galaretę, należy go sklarować, gdyż zwykle bywa mętny. Płótno, z którego szyjemy torebkę, sparzyć parę razy, a potem dobrze wypłókać, aby nie miało zapachu mydła, którego rybce udzielić może.

BUDYŃ ZE SZPINAKU

Pół kilo szpinaku przebrać, wrzucić na wrzątek osolony, zagotować raz, odlać, usiekać drobno, lub przepuścić przez maszynkę. Dwie bułki (100 grm.) wymoczyć w mleku, lub wodzie i przepuścić wraz ze szpinakiem. Dwadzieścia deka pieczeni cielęcej zimnej, lub tyleż nietłustej gotowanej szynki pokrajać w drobną kostkę. Dwie łyżki maki zasmażyć ze sporą łyżką masła, rozprowadzić rosołem, mlekiem, lub ostatecznie wodą do gęstości beszamelu. Zmieszać wszystkie te rzeczy razem, osolić do smaku, odrobinę popieprzyć, wbić trzy żółtka, wyrobić dobrze. Trzy białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z resztą masy, przełożyć do formy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Gotować, jak zwykle budynie, około półtorej godziny. Wyrzucić na półmisek i podać z masłem zrumienionem z bułeczką, lub z białym sosem śmietanowym.

MŁODE KURCZĘTA

Najmniejsze, młode kurczątka są wyborne w smaku, rzadko jednak bywają smacznie przyrządzane; przeważnie kucharki tak je wysuszają przy pieczeniu, że do stołu podają kostki, obcignięte przyschniętą do nich rumianą skórą. Przedewszystkiem młode kurczaki należy zawsze podawać nadziane, gdyż przez to są mniej suche i jest w nich więcej do zjedzenia. Na pięć małych kurczątek utrzyć dziesięć deka tłustego masła na śmietanę, wbić w to jedno jajko całe, lub dwa żółtka, wsypać sporą garstkę zielonego koperku, dwadzieścia deka tartej bułeczki, wlać dobrą szklanek mleka, albo rosołu, aby nadzienie nie było zbyt suche, posolić do smaku; nadziać tem kurczątka wewnątrz i pod skórą na piersi, zaszyć starannie, posolić lekko kurczaki wewnątrz przed nadziewaniem i zewnątrz. Na brytfannie rozpuścić sporo masła po połowie z fryturą wołową (masło czyste, rumieniąc, często przypala), ułożyć kurczaki i prędko zrumienić ze wszystkich stron w dobrze gorącym piecu. Brytfannę przykryć drugą brytfanną, lub miską odpowiedniego rozmiaru i piec tak dalej kurczęta przykryte, aby nie wysychały; trwa to około 20 — 30 minut. Przed samem podaniem pokrycie zdjąć, polać kurczęta tłuszczem, w którym się piekły, posypać obficie tartą bułeczką, na nią znów polać tłuszczem, wstawić w gorący piec na dwie minuty jeszcze. Podawać natychmiast całe, lub przerabane na połówki. Do nich zielona sałata, zaprawiona młodym koperkiem i kwaśną śmietaną.

TAJEMNICA

nie jest, że blondynki konserwują swój piękny kolor

włosów jedynie

HEZABLONDEM

Oryginalne tylko z firmą

HENRYK ŻAK W POZNANIU

Wystrzegać się fałszyfikatów

CIELECINA PIECZONA Z MLEKIEM

Ładny kawałek miękkiej cielęciny od dyszka (na pięć osób półtora kilo) zalać pół litrem wrzącego mleka i potrzymać w niem dobrą godzinę. Mleko zlać, cielęcinę naszpikować młodą słoniną, osolić, zrumienić ze wszystkich stron w sporej łyżce masła, dusić w rondlu, lub piec w piecyku, jak zwykle. Gdy gotowa, pokrajać w ładne plastry i ułożyć na półmisku. Do powstałego sosu wlać mleko, w którym się cielęcina moczyła, zagotować raz, wsypać garstkę usiekanego zielonego koperku i polać cielęcinę. Do takiej pieczeni oddzielnie podać smażone, lub gotowane kartofle i zieloną sałatę ze śmietaną, lub z oliwą i octem.

NALEŚNIKI POMARAŃCZOWE

Upiec zwykłe naleśniki z dwóch jaj i szklanki maki, robiąc je możliwie cienkie i dobrze wypiekając, aby nie były kleiste. Tymczasem otrzeć kilku kawałkami cukru skórkę z dużej pomarańczy, cukier ten utłuc. Pomarańczę całą przypuścić przez maszynkę, dodać cukier utłuczony i jeszcze tyle cukru, aby razem było około 15 deka, utrzeć to razem z dobrą łyżką śmietankowego masła i kieliszkiem konjaku, lub rumu. Zimną tą masą smarować cienko naleśniki, poskładać w chusteczki lub koperty, wstawić na 10 minut do pieca, ułożone na wysmarowanym masłem półmisku, obsypać cukrem i gorące podawać.

CZEREŚNIE W GALARECIE

Wziąć pół kilową blaszaną konserwowanych czereśni, lub półlitrowy słoik kompotowy z Weck'a, przelać przez durszlak, lub sito. Do syropu wsypać pół szklanki cukru, wcisnąć sok z pół cytryny, wlać kieliszek likieru: maraskino, lub abricotine i tyle wody, aby płyn było pełne trzy szklanki, zagotować

raz tylko. W zimnej wodzie rozmoczyć sześć listków żelatyny białej i jeden czerwony. Wybrękłą żelatynę rozpuścić w gorącym syropie, nie gotując jednak. Połowę nawpół przestudzonej galarety wlać do kryształowej salaterki i zastudzić na lodzie, wsypać czereśnie, zalać resztą galarety i zastudzić razem. Chcąc tę galaretę podać wyrzuconą z formy, należy brać zamiast sześciu listków, dziesięć żelatyny białej i jeden różowej.

Pani Elżbieta.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 1.50, poduszka — serwetka — zł. 1., drobne desenie — gr. 50.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu“, nie wysyłamy

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“.

INFORMACJE TELEFONICZNE

do g. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. — TEL. 273-34

„Napoje gorące“

SPOSÓB PRZYZRZĄDZANIA KAWY, HERBATY
I INNYCH NAPOJÓR GORĄCYCH.

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak. - Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu“ — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. - Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.